

BILL SIMMONS

# WIELKA KSIĘGA KOSZY- KÓWKI

*Niezwykłe  
wciągająca  
lektura.*

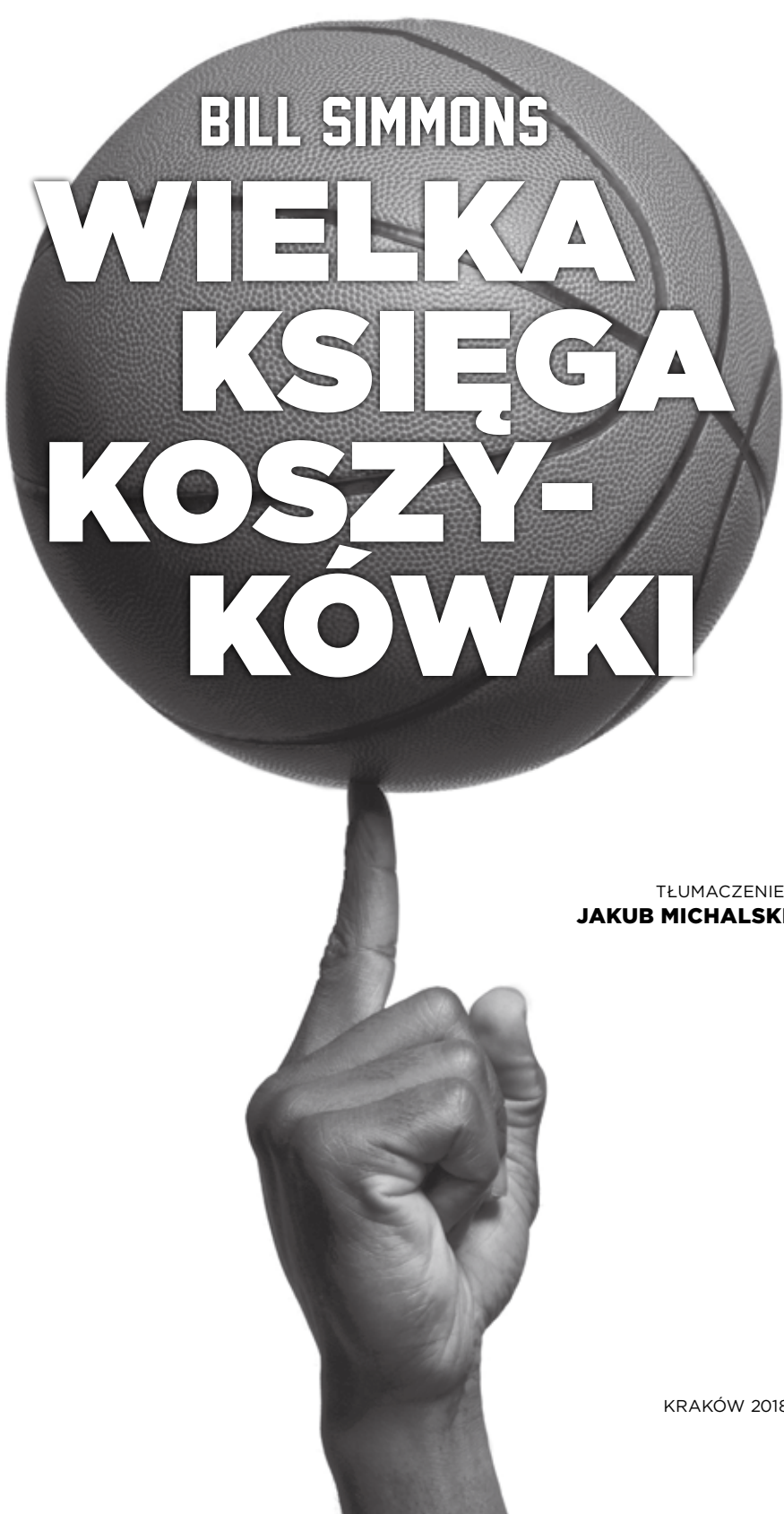
**HIREK WRONA**  
Trójka – Polskie Radio

**Wszystko,  
co chciałbyś  
wiedzieć o NBA**



**WIELKA  
KSIĘGA  
KOSZY-  
KÓWKI**



A black and white photograph of a hand balancing a basketball on its index finger. The basketball is positioned at the top of the frame, and the hand is positioned below it, with the index finger pointing upwards. The text is overlaid on the basketball.

BILL SIMMONS  
**WIELKA  
KSIĘGA  
KOSZY-  
KÓWKI**

TŁUMACZENIE:  
**JAKUB MICHALSKI**

KRAKÓW 2018



### The Book of Basketball. The NBA According to The Sports Guy

Copyright © Bill Simmons 2009

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2018

Copyright © for the Polish translation by Jakub Michalski 2018

Redakcja – Piotr Królak

Redakcja merytoryczna – Michał Rutkowski

Korekta – Maciej Cierniewski, Marta Pustuła, Magdalena Balcerzak

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafiki na okładce – RubberBall Productions / Getty Images, smalling / Vecteezy

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

**SQN**  
WYDAWNICTWO  
SQUADRO

Wydanie I, Kraków 2018

ISBN: 978-83-8129-272-6

*Dla mojego ojca i dla mojego syna.  
Chciałbym być choć w połowie tak dobrym ojcem.*





## WPROWADZENIE

Być może jesteście właśnie w księgarni, a może rozłożyliście się wygodnie na czyjejs sofie. Siedzicie na kiblu? Zażywacie kąpeli? Równie dobrze możecie robić zakupy w sklepie typu „Wszystko za dolara”, siedzieć na plaży, jechać samochodem lub czytać darmową zajawkę e-booka. Albo siedzicie w bibliotece lub Starbucksie i zastanawiacie się, czy gość siedzący dwa miejsca dalej ogląda właśnie pornola na swoim iPadzie. Lub po prostu zamierzacie zatłuc kogoś na śmierć tą książką – a uwierzcie, dałoby się – ale postanowiliście najpierw przeczytać chociaż kilka pierwszych stron. W każdym razie z pewnością przez głowę przechodzi wam jedna z czterech poniższych myśli.

1. „Ta cegła była na szczycie listy bestsellerów? Siedemset stron o koszykówce? Jakim cudem?”
2. „Zapomniałem, że Bill Simmons kiedyś pisał książki. Teraz prowadzi ten straszny program w ESPN. Sprzedał się jak nic”.
3. „A, to ta książka, którą pewien obrzydliwie bogaty właściciel klubu tak polubił, że zatrudnił Simmonsa jako generalnego menedżera swojego klubu i wyszła z tego totalna padaka! Chyba dalej ciągną się po sądach. Zawsze chciałem ją przeczytać”.
4. „Chwila, przecież mam ją już w twardej okładce... Teraz mam jeszcze kupić wydanie kieszonkowe? Co za chciwy typ”.

Tak, wyobrażam sobie, że przyszedł wam do głowy punkt czwarty. Nie wydawałbym tej książki ponownie, tym razem w miękkiej okładce, gdybym nie wierzył, że może być lepsza niż w pierwotnej wersji. Dlatego najpierw trochę ją odchudziłem (o jakieś 30 stron), poprawiłem wszystkie błędy rzeczowe (co prawda to drobne rzeczy, ale niech będzie), a potem wolne miejsca uzupełniłem nową treścią i kolejnymi

70 przypisami. Dodałem dwa nowe scenariusze z serii „co by było, gdyby”, do tego podrasowałem Piramidę, zmieniając ranking kilku graczy (największy wygrany: Dwyane Wade), napisałem też od nowa sekcje dotyczące Kobego, LeBrona, Wade'a i Howarda. Tyle samo stron – większa wartość.

Przeciągałem moment oddania wydawcy ostatecznej wersji tak długo, jak się dało. Chciał, żeby była gotowa po Finałach '10. Ja nalegałem, by poczekać do momentu podjęcia przez LeBrona decyzji dotyczącej jego przyszłości. Mój instynkt podpowiadał mi: „Zdarzy się coś nieoczekiwanego”. I tak właśnie było. To jedna z cech tej książki – należałoby ją ciągle aktualizować. Po tym, jak LeBron przeszedł do Miami, zdałem sobie sprawę z tego, że ta książka nigdy nie będzie skończona. Musiałem przestać przy niej dłużyć – dla własnego zdrowia psychicznego. Pięć lat to wystarczająco długo. Kolejnej wersji nie będzie. Nigdy. Przyrzekam.

Bill Simmons  
1 września 2010

## PRZEDMOWA – MALCOLM GLADWELL

### 1.

Nie tak dawno temu Bill Simmons postanowił ubiegać się o posadę generalnego menedżera Minnesoty Timberwolves. Jeśli jesteś stałym czytelnikiem tekstów Billa, to pewnie o tym wiesz, bo od czasu do czasu wspomina o tym w swoich felietonach. Ale jeśli jesteś jego stałym czytelnikiem, to wiesz też, że nie możesz być do końca pewien, co sądzić o tym pomysłe. Bill ma przecież wspaniałe poczucie humoru. Uwielbia żartować z ludzi, tak jak to kiedyś zrobił z Isiahem Thomasem, pisząc, że ten cierpi na rzadką chorobę psychiczną, przez którą Eddy Curry myli mu się z Billem Russellem\*. Nawet po tym, jak dowiedziałem się, że zarząd Minnesoty otrzymał około dwunastu tysięcy maili od kibiców, popierających Sports Guya\*\*, wychodziłem z założenia, że to jakiś wyrafinowany żart. Słuchajcie, przecież ja znam Billa. Facet mieszka w Los Angeles. Kiedy przyleciał tutaj z Bostonu, padł na kolana i ucałował kalifornijską ziemię. Nie ma mowy, żeby porzucił tutejsze słońce dla mroźnej Minnesoty. Poza tym – przecież Bill jest dziennikarzem. Jest kibicem. Wie tylko to, czego można się dowiedzieć, oglądając mecze w telewizji. Ale potem przeczytałem tę wyśmienitą książkę, którą trzymacie w rękach, i dotarło do mnie, jak bardzo się myliłem. Simmons zna się na koszykówce. Mówi o tej propozycji poważnie. I równie poważnie powinny podejść do tego tematu władze T-wolves.

---

\* [Eddy Curry – jeden z największych niewypałów w historii NBA. Wszystkie przypisy w nawiasach kwadratowych pochodzą od tłumacza lub redaktora merytorycznego, pozostałe zaś od autora książki].

\*\* [Sports Guy – przydomek autora książki, Billa Simmonsa. Można go przetłumaczyć jako „facet od sportu” i w dalszej części książki pojęcia te będą się pojawiać wymiennie. Sports Gal – „sportowa dziewczyna” – to z kolei żona Simmonsa, która także będzie się pojawiała pod tym pseudonimem w dalszej części książki].

## 2.

Jaki jest Bill Simmons? Wbrew pozorom pytanie wcale nie jest takie nieistotne, bo odpowiedź pozwala zrozumieć, dlaczego *Wielka Księga Koszykówki* jest taka, jaka jest. Krótka odpowiedź brzmi: Bill jest dokładnie taki jak ty czy ja. Jest kibicem – szalonym kibicem, w najlepszym rozumieniu słowa „szalony”. Mam przyjaciela, którego syn dorastał, gdy New York Yankees przeżywali swoje najlepsze lata, więc wychodził z założenia, że każda kolejna jesień przyniesie następne zwycięstwo w World Series. Ale gdy Rivera spartolił tamtą pamiętną akcję\*, chłopak kompletnie się załamał. Płakał. Przez wiele dni się nie odzywał. Świat, który znał, legł w gruzach. To jest właśnie prawdziwy kibic. I taki właśnie jest Simmons.

Różnica polega oczywiście na tym, że normalni kibice, tacy jak ty czy ja, starają się swoje szaleństwo do pewnego stopnia ograniczać. Mamy pracę. Mamy narzeczone i żony. Zawsze kiedy zapraszam swojego kumpla Bruce’a, żeby wpadł do mnie do domu na mecz futbolu, odpowiada, że musi się zapytać swojej dziewczyny, czy aby nie przekroczył jeszcze limitu. Sądzę, że wszyscy dorośli ludzie mają podobne ograniczenia. Bill ich nie ma. Dlaczego? Bo oglądanie transmisji sportowych to jego praca. Zatrzymajcie się na chwilę i spróbujcie ogarnąć, w jak genialnym położeniu się znalazł. „Kochanie, muszę dziś wieczorem zostać dłużej w pracy” – to jego sposób na to, żeby powiedzieć, że w meczu Lakers zaczyna się właśnie trzecia dogrywka. „Dziś nie dam rady. Jestem zbyt zestresowany pracą” – to oznacza, że Patriots przegrali po akcji w ostatnich sekundach. Ten facet ma w swoim biurze pięć telewizorów z płaskim ekranem. Sam nie wiem, co budzi mój większy podziw – czy to, że jest w stanie oglądać pięć meczów naraz, czy to, że nazywa pokój, w którym ogląda pięć meczów naraz, swoim „biurem”.

Inna rzecz związana z byciem kibicem polega na tym, że kibic jest zawsze kimś z zewnątrz. Co za tym idzie, większość dziennikarzy to nie kibice. Oni korzystają z tego, że mają dostęp do sportowców. Wczoraj wieczorem rozmawiali z Kobem, który zdradził im, że z jego palcem już wszystko w porządku. W marcu byli przez trzy dni na rybach z Brettem Favre’em i Brett mówi, że na sto procent wróci do gry w przyszłym sezonie. Oczywiście w takim podejściu nie ma niczego złego. Ale wiąże się ono z pewnymi ograniczeniami. Prędzej czy później człowiek z wewnątrz zaczyna niektórych sportowców faworyzować. Powstrzymuje się od swojej krytyki, choćby odrobinę, bo jeśli tego nie robi, to kto wie, czy Kobe nie przestanie odbierać od niego telefonów. Ta książka nie jest dziełem człowieka z wewnątrz. To dzieło kogoś, kto ma w swoim „biurze” pięć telewizorów i wyrobione zdanie na temat

---

\* [Mariano Rivera – panamski baseballista, legenda Yankees. Simmons wspomina o fatalnym błędzie Rivery w dziewiątej rundzie siódmego meczu finałowego World Series z Arizona Diamondbacks, który kosztował Yankees mistrzostwo].

piątego meczu Półfinałów Konferencji Wschodniej w 1986 roku, bo oglądał wtedy ten mecz, a potem – tak na wszelki wypadek, gdyby pamięć miała mu odmówić posłuszeństwa – odgrzebał kasetę wideo i obejrzał go jeszcze trzy razy pewnego wtorkowego przedpołudnia wiosną zeszłego roku. Ty i ja nie byłibyśmy w stanie tego zrobić, bo przekroczylibyśmy limit. Dlatego właśnie potrzebujemy Simmonsa.

### 3.

Pewnie już się zorientowaliście, że *Wielka Księga Koszykówki* jest bardzo grubą książką. Jestem przekonany, że to najdłuższa książka, jaką czytałem od czasu studiów. Ale niech was to nie odstraszy. Gdyby była to powieść, to musielibyście przeczytać ją od razu w całości, w przeciwnym razie pogubilibyście się w fabule. (Chwila. Czy Celeste była żoną Ambrose'a, czy miała z nim romans w hotelu Holiday Inn?). Ale na szczęście to nie jest powieść. To raczej seria luźno ze sobą powiązanych opinii, historyjek i anegdot, po które możesz sięgnąć w dowolnej chwili i również w dowolnej chwili je odłożyć. To koszykarska wersja książek pod wspólnym tytułem *Baseball Abstract*, które w latach 80. wydawał Bill James. Jest długa, bo musi być długa – bo jej celem jest pomóc nam zrozumieć powiązania na przykład pomiędzy Elginem Baylorom i Michaeliem Jordanem. Ale żeby to się udało, musimy najpierw dokładnie zrozumieć, kim był Baylor. Poza tym Bill nie chciał zrobić tylko rankingu dziesięciu najlepszych koszykarzy wszech czasów, albo 25, bo przecież mniej więcej tylu świetnie znamy. On chciał zrobić ranking najlepszych 96, a potem jeszcze wspomnieć o tych, którzy się na tej liście minimalnie nie zmieścili. No i pragnął dokładnie uzasadnić każdą pozycję – z charakterystyczną dla siebie swadą, humorem i argumentacją. A kiedy będziecie czytali tę książkę, dotrze do was, że zaczynacie rozumieć koszykówkę w sposób, w jaki nigdy wcześniej jej nie rozumielście. Ale zorientujecie się też, że do tej pory nie mieliście w rękach podobnej książki poświęconej tej dyscyplinie. A zatem nie spieszcie się. Zarezerwujcie sobie kilka tygodni. Nie pogubicie się w postaciach. Przecież je znacie. Może nie zdawaliście sobie do końca sprawy z tego, jak dobry był Bernard King, albo dlaczego Pippen zasłużył na to, żeby znaleźć się wśród najlepszych koszykarzy wszech czasów. (Przy okazji: koniecznie czytajcie przypisy. Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego, ale Simmons jest mistrzem przypisów).

I jeszcze jedno. Ta książka ma być kontrowersyjna. Na przykład wciąż nie mogę pojąć, dlaczego Simmons tak wysoko umieścił Allena Iversona. Albo dlaczego Kevin Johnson ledwo się załapał do Piramidy. Pamiętam przecież czasy, kiedy K.J. był nie do zatrzymania. Ale polegam tylko na swojej pamięci. A pewnego wtorkowego popołudnia, kiedy my wszyscy byliśmy jeszcze w pracy, Simmons włączył sobie kasetę wideo i obejrzał raz jeszcze jakieś spotkanie. Pieprzony farciarz.



## PROLOG

# BILET ZA CZTERY DOLARY

Latem 1973 roku, w środku afery Watergate, zaraz po niechlubnym zakończeniu kariery przez Williego Maysa, mój ojciec zastanawiał się, czy kupić sobie nowy motocykl, czy roczny karnet na mecze Celtics. Urząd podatkowy zwrócił mu właśnie 200 dolarów (przynajmniej taką kwotę pamięta mój tata), a może 600 (taką kwotę pamięta mama). Oboje zgadzają się co do jednego – że mama zagroziła rozwodem, jeśli kupi motocykl.

Wynajmowaliśmy wtedy skromny apartament w Marlborough w stanie Massachusetts, jakieś 25 minut od Bostonu. Ojciec za dnia pracował jako nauczyciel w dziewczęcej szkole z internatem, nocą dorabiał sobie jako barman. Choć zwrot podatku miał też pokryć jakieś rachunki, to tata chciał kupić coś dla siebie. Jego życie było do niczego. Pragnął mieć ten motocykl. I kiedy mama wybiła mu z głowy ten pomysł, zadzwonił do Celtics i dowiedział się, że za średnio cztery dolary na mecz może kupić karnet zaraz za ławką gości. W dzisiejszych czasach za 150 dolarów nie byłbyś sobie w stanie wykupić transmisji czterech walk boksinerskich w systemie *pay-per-view* ani nawet nowego iPoda. Ale wtedy można było za te pieniądze zdobyć miejsce w piątym rzędzie, za ławką gości w hali Boston Garden, wystarczająco blisko, żeby móc zobaczyć coraz większą łysinę na głowie Kareema\*.

Ojciec się nie zawahał i wieczorem szczęśliwy poinformował mamę o swoim zakupie. Rozmowa wyglądała pewnie mniej więcej tak:

---

\* To pierwszy w tej książce z około 300 spontanicznych przytyków pod adresem Kareema. Po prostu was ostrzegam. Kareem to fujara.

TATA: Kochanie, mam dobrą wiadomość. Kupiłem karnet na mecze Celtics. Będę spędzał 35 wieczorów\* w ciągu roku w hali Garden, nie licząc oczywiście play-offów, więc będziesz musiała zajmować się naszym małym Billym, bo nie stać nas na nianię. Wydałem na to prawie cały zwrot podatku. Ale nie mogłem się powstrzymać – bo przecież możemy w tym roku zdobyć mistrzostwo!

MAMA (po długiej chwili milczenia): Mówisz poważnie?

TATA: Yyy... może będę mógł czasem zabrać Billy'ego ze sobą. Może siedzieć u mnie na kolanach. Co o tym myślisz?

MAMA: Myślę, że zbyt wcześnie się pobraliśmy.

Jeśli rzeczywiście tak powiedziała, to miała rację – pięć lat później rodzice zdecydowali się na separację. Z perspektywy czasu myślę sobie, że motocykl tylko przyspieszyłby sprawę. Ale sami widzicie, jak było blisko, żebym stracił szansę na spędzenie całego dzieciństwa w hali Garden\*\*. Gdyby mama zgodziła się na motocykl, to być może ojciec skończyłby jak Gary Busey\*\*\*. Może straciłby pięć mistrzowskich sezonów Celtics. Może koszykówka nie stałaby się dla mnie taka ważna. I może nie wściekałbyś się, że wydałeś tyle kasy na tę książkę. Cóż, życie jest dziwne.

Wpasowaliśmy się w czasy Celtic Pride w idealnym momencie – w poprzednim sezonie Boston wygrał 68 meczów, ale pechowo zakończył play-offy, kiedy John Havlicek po zderzeniu z zasłoną przeciwnika wybił bark i Celtics przegrali z niżej notowaną ekipą New York Knicks. Pomimo straconej szansy na tytuł mistrzowski i rywalizacji z niebywale popularną drużyną Bruins, która też grała w hali Garden, to Celtics byli ulubieńcami lokalnych kibiców, dzięki Havliczkowi i zdobywcy nagrody MVP Dave'owi Cowensowi – rudzielcowi, który potrafił nawiązywać z kibicami tak bliskie relacje, jakie nigdy nie były udziałem Billa Russella. Po tym, jak hali nie udawało się zapełnić w czasach wspaniałej serii Russella (11 tytułów

---

\* Celtics co roku grali sześć domowych meczów w Hartford. Nie wiedzieć czemu ktoś wymyślił, że zdołają dzięki temu w Nowej Anglii więcej kibiców. Eksperyment dobiegł końca w latach 80., kiedy władze Celtics zdały sobie sprawę z trzech rzeczy: że gracze mają dość wyjazdów na 47 meczów w sezonie, że grając na własnym parkiecie, można więcej zarobić, i wreszcie po trzecie i najważniejsze – przecież chodzi o pieprzone Hartford.

\*\* Będę nazywał halę Boston Garden „Garden”, a halę Madison Square Garden „MSG”. Dlaczego? Bo tak. To moja książka.

\*\*\* [Gary Busey – amerykański aktor, który w 1988 roku, jadąc bez kasku, uległ poważnemu wypadkowi motocykłowemu].



mistrzowskich w ciągu 13 lat – od 1957 do 1969 roku), Celtics zaczęli nagle rozkwitać w mieście, które było zawsze uważane za rasistowskie. Czy stało się tak dlatego, że dwóch najlepszych zawodników było białych? A może to dzięki rosnącej populacji młodych ojców, takich jak mój, którzy pokochali kosza, patrząc na grających zespołowo Celtics Auerbacha i Knicks Holzmana, którzy dorastali, przyglądając się Chamberlainowi i Russellowi toczącym co niedziela epickie pojedynki niczym dwa gigantyczne dinozaury, i którzy byli oczarowani niewiarygodną serią zwycięstw drużyny uniwersyteckiej UCLA oraz magicznymi popisami Maravicha na uczelni LSU? A może Cowens był po prostu fajniejszym, przystępniejszym i bardziej dającym się lubić gościem od zagadkowego Russella?

Odpowiedź brzmi pewnie: wszystko po trochu\*. Może i miasto zaakceptowało by afroamerykańskiego sportowca jako bohatera w latach 50. albo 60. – tak jak stało się to później z wieloma zawodnikami – ale nie było na to szans w przypadku kogoś o tak złożonej osobowości i tak upartego jak Russell. Podczas rozmów z dziennikarzami facet był humorzasty i wiecznie nadęty, dystansował się od kibiców, szokując co szczerze i bezpośrednio wypowiadał się w kwestiach rasistowskich, podkreślał na każdym kroku kolor swojej skóry. Russellowi zależało tylko na tym, żeby być świetnym kolegą z drużyny i dumnym czarnoskórym, nigdy nie dbał o swój wizerunek jako kogoś dostarczającego rozrywki albo ambasadora koszykówki. Obu tych ról konsekwentnie unikał: chciał tylko rywalizować, wygrywać, cieszyć się szacunkiem jako koszykarz i jako człowiek... I żeby zostawiono go w spokoju. Nawet kiedy w 1966 roku Auerbach mianował go pierwszym czarnoskórym trenerem w NBA, Russell nie doceniał ważkości tej decyzji. Uznał, że po prostu nie było nikogo lepszego na to stanowisko. Dopiero wiele lat później kibice docenili tego odważnego, legendarnego koszykarza, który zrobił dla społeczności Afroamerykanów więcej niż jakikolwiek inny sportowiec, może z wyjątkiem Muhammada Alego. Dopiero wiele lat później zaczęliśmy podchodzić z empatią do cierpienia, które przeżywał ten niebywały zawodnik – kibicowano mu jako gwiazdzie koszykówki, ale dyskryminowano go jako człowieka. Dopiero wiele lat później zaczęliśmy w tym nieufnym i twardym zachowaniu Russella dostrzegać sens.

W przeciwieństwie do Russella Cowens nie dźwigał żadnego brzemienia. W jego przypadku nie trzeba było się niczego domyślać ani odkrywać żadnej tajemnicy.

---

\* Głęboko zakorzenione problemy Bostonu z rasizmem wyszły na jaw rok później, kiedy po dzielącej społeczeństwo decyzji o desegregacji rasowej w bostońskich szkołach publicznych i autobusach w mieście wybuchły zamieszki. Choć tak naprawdę to lampka ostrzegawcza powinna się była zapalić wcześniej, bo w ciągu 40 lat jedynymi czarnoskórymi baseballistami w Red Sox byli Reggie Smith i Jim Rice – i nikomu to jakoś nie przeszkadzało.

Ten wielki rudzielec po prostu nurkował za każdą straconą piłką, gnał przez cały parkiet do kontrataku, szalał na atakowanej tablicy, wykorzystując każdy centymetr posiadanego talentu. Kłócił się z sędziami donośnym głosem, który było słychać nawet w ostatnich rzędach Garden. Puentował swoje zbiórki głośnym chrząknięciem i wymachiwaniem nogami w różnych kierunkach, co byłoby w porządku, gdyby nie działo się w Czasach Ciasnych Spodenek, w związku z czym wszyscy zastanawiali się, czy za którymś razem nie ujrzą jego jaj. Kiedy Cowens pojawiał się na środku boiska, żeby próbować wygrać wznowiecie, walcząc z ogromnym Abdul-Jabbarem, swoją nemezis i najlepszym koszykarzem w lidze, wyglądał zawsze jak zawodnik wagi półśredniej, który szykuje się do wymiany ciosów z pięściarzem wagi ciężkiej. W tym pojedynku było coś zgoła niesprawiedliwego. Wyglądało to trochę tak, jakby nasz pierwszy center był na chorobowym. Po czym zaczynał się mecz i okazywało się, że pojedynek wcale nie jest taki nierówny. Cowens odciągał Kareema od kosza, oddając rzuty z pięciu metrów i pozbawiając drużynę Milwaukee jej najlepszego specjalisty od bloków i zbiórek. A w obronie nadrabiał 20-centymetrową różnicę wzrostu, próbując zamęczyć Kareema i każąc mu ciężko walczyć o oddanie rzutu. Za każdym razem można było zaobserwować między nimi ten sam pełen przepychanek taniec – Jabbar próbował zająć swoją ulubioną pozycję pod tablicą, a Cowens ze swoim szalonym błyskiem w oku napierał piersią na plecy Kareema, nie chcąc odpuścić nawet na centymetr. Może na papierze ta rywalizacja była nierówna, ale obaj dawali z siebie wszystko, co najlepsze niczym Frazier i Ali. Cowens napawał się możliwością gry przeciwko najbardziej dominującemu centrowi w NBA, Kareem nie był w stanie się rozpedzić, bo Cowens mu na to nie pozwalał, a Finały '74 okazały się ich własnym Dreszczowcem w Manili. Celtowie wygrali w siedmiu meczach, a w decydującym z nich wielki rudzielec zdobył 28 punktów i miał 14 zbiórek. I to by było na tyle, jeśli chodzi o nierówny pojedynek\*.

Najważniejsza akcja Cowensa miała miejsce, kiedy Mike Newlin padł na ziemię, próbując wymusić faul Dave'a w ataku. Takich rzeczy nie robiło się przeciwko Cowensowi, bo koszykówka dla nikogo nie była większą świętością niż dla niego\*\*. Nakrzyczał na sędziego pod koszem, a kiedy odpowiedź arbitra go nie

---

\* Obaj błysnęli w meczu numer sześć – Kareem trafił kluczowy rzut hakiem, zapobiegając zakończeniu sezonu przez Milwaukee w meczu z dwiema dogrywkami, a Cowens wytrącił piłkę Oscarowi Robertsonowi i ślizgał się sześć metrów po parkiecie, goniąc za nią. Żadna akcja nie opisywała zawodnika lepiej niż ta, może z wyjątkiem tych 340 razy (i to przecież nie koniec), kiedy Vince Carter padał na parkiet jak rażony piorunem. Tak przy okazji – jeśli myślisz, że Kareemowi oberwie się w tej książce najbardziej, poczekaj, aż dojdziemy do Vince'a.

\*\* Po zakończeniu sezonu '76 Cowens zrobił sobie przerwę i zatrudnił się na lokalnym torze wyścigowym, gdzie miał swoje własne biuro i takie tam. Potem, po opuszczeniu 32 meczów, wrócił jak gdyby nigdy nic. Podczas play-offów w '77 roku wyszło na jaw, że Cowens spędza noce, wożąc pasażerów taksówką i zara-

usatysfakcjonowała, wrzeszczał dalej, po czym się odwrócił i zauważył Newlina, kozłującego w kierunku kosza. Wściekły Cowens wpadł w Newlina od tyłu, pod kątem 45 stopni, atakując go wystawionym barkiem, niczym futbolista. Biedny Newlin wylądował na stoliku sędziowskim. Jeśli oglądało się to na żywo (a ja miałem taką przyjemność), wyglądało to dosyć przerażająco. Trochę jakbyś podczas pobytu w Pampelunii znajdował się w odległości trzech metrów od rozjuszonego byka, próbującego zaatakować przechodniów. Ale to wcale jeszcze nie było najlepsze. Podczas gdy szczątki Newlina rozlatywały się po parkiecie, Cowens odwrócił się do tego samego sędziego i ryknął: „No i to jest pieprzony faul!”. Podsumowując: tak, Cowens był biały, a Russell był czarny. Ale Cowens mógłby sobie być nawet purpurowy – sam jeden był wart wydania czterech doliców na mecz. Podobnie jak Havlicek. To oni byli powodem, dla którego mój ojciec wysupłał pieniądze na kar-net Celtics i nigdy tego nie żałował.

Tak się złożyło, że nasz pierwszy sezon zbiegł się w czasie z pierwszym tytułem mistrzowskim Celtics w epoce po Billu Russellu, co stało się jednocześnie początkiem całkiem obiecującej epoki Simmonsowskiej. Moje wspomnienia zaczynają się jednak dopiero od kolejnego sezonu, kiedy przeprowadziliśmy się do Chestnut Hill (15 minut od Garden), a ojciec zaczął zabierać mnie na mecze częściej. Ludzie z naszego sektora szybko zaczęli mnie kojarzyć jako małą sportową encyklopedię, rozczochanego dzieciaka, który obgryzał paznokcie i którego życie obracało się wokół drużyn z Bostonu. Przed meczami woźni z Garden pozwalali mi stawać za naszym koszem i mogłem uganiać się za piłkami i podawać je swoim bohaterom. Wciąż pamiętam, jak stałem, obgryzałem paznokcie i modliłem się o airballa albo żeby piłka odbiła się od obręczy i poleciała w moim kierunku. Mógłbym ją złapać i oddać jednemu z zawodników. Kiedy mówię, jakie to było podniecające dla małego chłopca... zresztą nie macie nawet pojęcia. Tak jakbyś mógł odwiedzać Disneyland 40 razy w ciągu roku i za każdym razem wchodzić do największych atrakcji bez kolejki. W końcu nabrałem dość odwagi, żeby podchodzić do ławki Celtics\* i rozmawiać z rozbawionymi trenerami, Tommym Heinsohnem i Johnem Killileą, co doprowadziło w końcu do tej chwili podczas meczu play-offów z Buffalo, kiedy fotograf „Herald American” zrobił mi zdjęcie, jak gapię się na kontuzjowanego Johna Havlicka (ubranego w błękitny garnitur i wspierającego się na kulach). Następnego

---

biając na kursach. Najśmieszniejsze jest to, że czytacie to teraz i myślicie, że robię sobie jaja. Nic z tych rzeczy. Powinniśmy odtworzyć karierę Cowensa w erze internetu – wyobraźcie sobie te wpisy: „Dave Cowens wiózł mnie wczoraj w nocy taksówką!”.

\* Tak, tak – dawno, dawno temu mały chłopiec mógł wchodzić przed meczami na parkiet, stać w pobliżu ławki rezerwowych gospodarzy i gadać z trenerami i zawodnikami. Ech.

dnia to zdjęcie wylądowało na czołówce działu sportowego gazety. Możecie sobie wyobrazić, co się wydarzyło, kiedy skończyłem sześć lat: uznałem się za członka Boston Celtics. To stało się zaczątkiem mojego kryzysu rasowego w pierwszej klasie (dokładnie opisałem go w książce poświęconej Red Sox), kiedy nadałem sobie mużelniańskie imię „Jabaal Abdul-Simmons”. Chciałem grać w Celtics, a większość koszykarzy NBA było czarnoskórych. Zresztą łączyło mnie z nimi znacznie więcej: moja ulubiona dyscyplina sportu była czarna, mój ulubiony zawodnik (Charlie Scott) był czarny, moi ulubieni komicy (Flip Wilson, Jimmie Walker i Redd Foxx) byli czarni, w moich ulubionych serialach telewizyjnych (*Sanford and Son*, *The Jeffersons*, *Good Times*, *The Mod Squad*) główne role grali czarni. Namówiłem nawet mamę, żeby zabrała mnie w 1975 roku do Roxbury, żebym mógł obejrzeć jedyny film z Keithem Wilkesem\* *Cornbread, Earl and Me*\*\* . Wkurzało mnie to, że byłem biały. Kazałem więc nauczycielowi w pierwszej klasie nazywać się „Jabaalem”, podpisywałem się „Jabaal” na pracach domowych i na klasówkach, a na rysunkach przyciemniałem sobie twarz.

W międzyczasie Celtics próbowali w sezonie '76 jeszcze raz zawalczyć o mistrzostwo NBA. Silas i Havlicek najlepsze lata mieli już za sobą. Podstarzały Don Nelson – tak jest, ten sam facet, który potem trenował Milwaukee i Dallas – grał w koszykówkę z wystającym brzuszkiem, przez który wyglądał jak zapracowany tatuś z popularnych w latach 70. amerykańskich sitcomów. Każdy kluczowy zawodnik (w tym Cowens i Jo Jo White, najlepsi zawodnicy drużyny) miał już swój najlepszy sezon za sobą, no i brakowało świeżej krwi na ławce, bo Auerbach – co dla niego nietypowe – zmarnował kilka wyborów w drafcie. Golden State wydawało się zdecydowanym faworytem do momentu, w którym obrońcy tytułu w przedziwnych okolicznościach pokonali sami siebie w siódmym meczu Finałów Konferencji Zachodniej: na samym początku meczu Ricky Sobers z Phoenix rzucił się na gwiazdę Warriors Ricka Barry'ego i zanim koledzy z drużyny odciągnęli go, zdążył mu zadać kilka ciosów\*\*\*. W przerwie meczu Barry (który zawsze był kutasem) obejrzał sobie

---

\* [Keith Wilkes (Jamaal Abdul-Lateef), gwiazda koszykówki w latach 70., najpierw na uczelni UCLA, potem w NBA w Golden State Warriors i Los Angeles Lakers. Czterokrotny mistrz NBA].

\*\* Wilkes zagrał Cornbreada, szkolną gwiazdę koszykówki przypadkiem zastrzeloną przez policjantów. Kiedy scena jego śmierci doprowadziła mnie do płaczu, mama odetchnęła z ulgą, bo myślała, że nie wyjdziemy z kina żywi. Twierdzi, że wszyscy inni widzowie byli wściekli, że tam jesteśmy. Byłem zbyt młody, żeby pamiętać cokolwiek z tamtego dnia. Z całej relacji mamy nie wierzę tylko w to, że po seansie grałem w kości w męskiej ubikacji.

\*\*\* Świetny wątek poboczny: Barry nosił wtedy perukę (były to czasy, kiedy można było robić coś takiego i nie zostawało się zmasakrowanym w internecie). Po bójce wydawał się bardziej zajęty jej ponownym ułożeniem niż próbą dojścia do tego, dlaczego Sobers się na niego rzucił. Jeśli kiedyś trafią wam w ręce zdjęcia

tę akcję na ekranie i dotarło do niego, że koledzy z drużyny nie ruszyli mu na pomoc. Wściekł się i w drugiej połowie, żeby zrobić im na złość, niemal przestał rzucać – serio, odmawiał oddawania rzutów – pozbywał się piłki jak gorącego kartofla za każdym razem, kiedy ktoś mu ją podawał. I w ten oto sposób Suns, którzy sezon zasadniczy zakończyli z bilansem 42-40, awansowali do Finałów, sensacyjnie pokonując obrońców tytułu na ich parkiecie i wykorzystując to, że najlepszy zawodnik rywali postanowił pokazać kolegom z drużyny środkowy palec.

Celtics stanęli nagle przed ogromną szansą. Dodatkowo zwiększał ją fakt, że był to ostatni sezon przed połączeniem NBA z ligą ABA, najsłabszy od czasów George'a Mikana. Przez większość ostatniego dziesięciolecia ABA przepłacało utalentowanych zawodników z liceów i uczelni, w tym Juliusa Ervinga, Maurice'a Lucasa, Mosesa Malone'a, Davida Thompsona i George'a Gervina – fantastycznych koszykarzy, którzy tchnęliby nowe życie w skostniałą NBA. Każda liga oferowała to, czego ta druga nie miała. Zdyscyplinowany, fizyczny styl gry i zespołowość (NBA) kontra wyluzowany, nieprzewidywalny styl z naciskiem na umiejętności indywidualne (ABA). Kiedy ligi się w końcu połączyły, nastąpiły trzy lata koszykarskiego chaosu – zawodnicy, dla których liczyła się tylko gra zespołowa, próbowali się zgrać z kolesiami, dla których najważniejsze były popisy indywidualne. Potem wszystko się jakoś ułożyło\*, NBA wprowadziło linię rzutów za trzy punkty, do ligi dołączyli Bird i Magic i nadeszły lepsze czasy. Celtics z 1976 roku byli zbyt starzy i zbyt wolni, żeby utrzymać się na topie po fuzji, ale wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Także z tego, że biali faceci, jak Nelson, prędzej zjedzą zegar odmierzający czas do końca akcji, przetrwają go i wysrają, niż będą w stanie powstrzymać gości takich jak Erving czy Thompson. Koszykówka się zmieniała, ale nikt o tym jeszcze nie wiedział.

Po pierwszych czterech meczach Finałów pomiędzy Bostonem i Phoenix był remis 2-2. Piąty mecz zaczął się o dziewiątej wieczorem, żeby pójść na rękę CBS, stacji telewizyjnej, która miała ligę totalnie gdzieś i nie widziała żadnego problemu

---

Warriors z tamtych czasów, to zwróćcie uwagę na to, jak Barry z każdym kolejnym rokiem ma na głowie coraz mniej włosów, aż tu nagle – w sezonie '76 – odzyskuje bujną czuprynę, a już po roku na zdjęciach zespołu jest kompletnie łysy. Teraz ma przeszczepione włosy. Nie pytajcie mnie, dlaczego uwielbiam takie historie.

\* Doszły za to nowe problemy, o których będzie mowa później: po pierwsze niektórzy zawodnicy zaczęli mieć wszystko w dupie, bo podpisywali gwarantowane kontrakty na grubą kasę. Po drugie – na kilka lat nastąpiła moda na kokainę, bo do nikogo jeszcze nie dotarło: „Zaraz, zaraz, przecież to narkotyki, który uzależnia, niszczy organizm i jest drogi. Przecież to nie ma żadnego sensu”. W latach 70. nikt nie miał o tym pojęcia, a liga coraz bardziej na tym cierpiała. I nie dowiedzielibyśmy się tego, gdyby w 1979 roku David Thompson nie próbował podczas meczu Nuggets wciągnąć nosem linii rzutów wolnych.

w transmitowaniu meczów play-offów z poślizgiem albo w przesuwaniu ich rozpoczęcia na jakieś chore godziny. Wiesz, co się dzieje, kiedy zaczynasz grać tak późno dla tłumu szalonych kibiców Bostonu w czasach, kiedy na bilet na mecz finałowy NBA mógł sobie pozwolić każdy? Musisz się zmagać z najbardziej rozwydrzoną, szaloną i pijaną hordą bostońską wszech czasów. Jeśli na rozpoczęcie meczu trzeba czekać cztery godziny, a sam mecz trwa trzy kolejne, to średni poziom alkoholu we krwi kibica staje się najwyższy w historii, podobnie zresztą jak poziom gry. Opowiedziałbym wam więcej, ale przespałem całą czwartą kwartę, wspaniały powrót Phoenix i pierwsze dwie dogrywki, leżąc na kolanach u ojca i jakichś łaskawych obcych ludzi, którzy siedzieli obok niego\*. Obudziłem się na siedem sekund przed końcem drugiej dogrywki. Celtics przegrywali jednym punktem i wszyscy się podnieśli, żeby na stojąco obejrzeć ostatnią akcję. (Tak naprawdę to właśnie dlatego się obudziłem – wszyscy w naszym sektorze wstali). Zobaczyłem, jak Havlicek otrzymuje podanie z autu, wkręca się w kierunku kosza (kożlując lewą ręką), po czym w ostatniej sekundzie oddaje rzut od tablicy, stojąc na niewłaściwej nodze i doprowadzając do najbardziej przerażającej chwili mojego dzieciństwa: tysiące oszalałych ze szczęścia kibiców wylało się na parkiet, a wielu z nich przeskakiwało przez mój sektor, żeby się tam dostać. Wyglądało to jak bunt w więzieniu, tyle że nastroje były pozytywne. A ja wtedy cały czas jeszcze na dobre się nie obudziłem.

Resztę znacie: sędziowie orzekli, że do końca meczu została jeszcze jedna sekunda, jeden z nich, Richie Powers, został zaatakowany przez pijanego kibica, Suns poprosili o czas, żeby wyprowadzić piłkę ze środka boiska, choć wcześniej wykorzystali już wszystkie przerwy na żądanie, Jo Jo trafił rzut wolny za przewinienie techniczne, Gar Heard trafił niewiarygodny rzut z obrotu, doprowadzając do trzeciej dogrywki (pamiętam, że wtedy wydawało mi się, że rzucił z odległości 15 metrów), i wreszcie Celtics minimalnie wygrali dzięki końcowym popisom Jo Jo i mało znanego rezerwowego, niejakiego Glenna McDonalda. Mimo że niektóre z najlepszych chwil przespałem, to następnego dnia Jabaal Abdul-Simmons stał się najfajniejszym chłopakiem w szkole – nie tylko dlatego, że byłem na najsłynniejszym meczu w historii koszykówki, ale też dlatego, że rodzice pozwolili mi nie spać do pierwszej trzydziści, żebym mógł to obejrzeć\*\*.

---

\* Mój ojciec wciąż się z tego nabija. Mam na swoją obronę to, że miałem wtedy sześć lat. Ale mogę go zrozumieć, bo był to najsławniejszy mecz w historii NBA.

\*\* Kiedy wróciliśmy do domu, byliśmy z ojcem tak nakręceny, że zrobiliśmy sobie jedzenie i oglądaliśmy jeszcze telewizję. Puszczali akurat powtórkę *Aniolków Charliego* i pamiętam, że myślałem sobie wtedy: „Teraz już wiem, co się dzieje, kiedy się siedzi do późna. Można oglądać seriale telewizyjne z rozebranymi do połowy kobietami detektywami”. Wtedy właśnie narodził się we mnie przyszły nocny marek.

Dwa dni później w Phoenix zapewniliśmy sobie 13. tytuł mistrzowski. W ciągu dwóch kolejnych lat staliśmy się jedną z najgorszych drużyn w lidze, co wcale nie było dla rodziny Simmonsów takie złe: ojciec mógł sobie pozwolić (z trudem) na zakup drugiego karnetu na wszystkie mecze, a w związku z tym, że liczba chętnych do wydawania pieniędzy na te bilety znacząco zmalała, dostaliśmy lepsze miejsce na wysokości środka boiska, zaraz obok Tunelu Imienia Nancy Parish (wyjaśnię to później), z którego, ku uciesze kibiców, wychodzą zawodnicy, trenerzy i sędziowie\*. Moje miejsce znajdowało się o dwa rzędy przed miejscem taty – żeby siedzieć razem, musielibyśmy przesiąść się dalej od tunelu, a wcale tego nie chcieliśmy – ale mogłem przejść pod poręczą, stanąć w tunelu i gadać sobie z ojcem podczas przerw w meczu. Co lepsze – w tunelu gromadzili się czasem, żeby obejrzeć kawałek meczu, przeróżni kontuzjowani gracze, weterani, którzy już zakończyli kariery, i ludzie mediów. Dzięki temu mam jedno z moich ulubionych wspomnień z dzieciństwa: podstarzały Marvin „Bad News” Barnes stał niespełna pół metra ode mnie, udając jakąś kontuzję. Ubrany w długie futro opierał się o moją poręcz. Co kilka minut, po dobrych akcjach Celtics, uśmiechał się do mnie, jakby chciał powiedzieć coś w stylu „Nieźle, co, mały białasku?”. A ponieważ jeszcze całkiem nie przezwyciężyłem wtedy swojego kryzysu tożsamości rasowej, przez cały czas gapilem się na jego futro i zastanawiałem się, czy zechciałby mnie adoptować. Nic takiego się nie stało. Ale zamieniliśmy ze sobą kilka zdań:

JA (*w końcu się na to zdobyłem po trzech kwartach*): Panie Barnes, kiedy pan wraca?

BAD NEWS (*ochoczo*): Wrggrghjsdhshs nmdmakalkm nbdb jsjajajpldksaksjhj, chłopcze!\*\*

News rozegrał dla nas tylko 38 meczów, ale ta rozmowa uosabiała wszystko, co z nim związane. W ciągu 24 miesięcy era Celtics Pride dobiegła kresu. Nelson i Hondo zakończyli kariery. Silas i Jo Jo zostali w kiepskich okolicznościach sprzedani. Cowens zatracił gdzieś ten ogień, który czynił go wyjątkowym. Heinsohn

---

\* Nie tylko mogłem spędzić swoje najmłodsze lata, wystawiając dłoń w nadziei na to, że przybiję z kimś słynnym piątkę, ale też w co drugim meczu epoki Birda widać mnie było w telewizji. Pojawiam się na ESPN częściej od braci Sklar.

\*\* To była jedna z moich najlepszych chwil w całym 1978 roku, obok tej, kiedy razem z moim kumplem Reese'em wymyśliliśmy, że jak jeden będzie trzymał drugiego na rękach, to ten drugi będzie mógł ukraść monety wrzucone przez turystów do fontanny w Chestnut Hill Mall i potem kupimy sobie za to karty z hokeistami. To były piękne czasy!

wyleciał i postanowił kontynuować karierę jako komentator meczów Celtics\*. Ale najgorsze było to, że niewiele brakowało, a Auerbach wylądowałby w Knicks po tym, jak właściciel John Y. Brown lekkomyślnie oddał trzy wybory w pierwszej rundzie draftu w zamian za Boba McAdoo, zapominając uprzedzić o tym Reda. Staliśmy się jedną z mających olbrzymie problemy drużyn w mającej olbrzymie problemy lidze – zdesperowaną ekipą podejmującą desperackie decyzje i poszukującą własnej tożsamości. A potem, równie szybko, wszystko się zmieniło. Auerbach wygrał wojnę o władzę z Johnem Y.\*\*, wybrał w drafcie Larry’ego Birda w 1978 roku i myślał na tyle perspektywicznie, że był skłonny poczekać przez rok, żeby Bird mógł skończyć studia na Uniwersytecie Indiana State\*\*\*. Choć nasza drużyna grała tragicznie, to widzieliśmy na horyzoncie potencjalnego zbawcę. Po zażartych negocjacjach dotyczących kontraktu Bird podpisał w końcu rekordową jak na tamte czasy pięcioletnią umowę wartą 3,25 miliona dolarów, pojawił się na obozie przygotowawczym, po czym w ciągu kilku tygodni sprawił, że drużyna, z której wszyscy się śmiali i która rok wcześniej wygrała tylko 29 meczów, stała się potęgą, która wkrótce zanotowała 60 zwycięstw w sezonie. Udało mu się zrobić porządek szybciej niż Patrickowi Swazemu w knajpie Double Deuce w filmie *Wykidajło* (i nie trzeba było nawet zatrudniać Sama Elliotta). Znow zaczęto się z nami liczyć. Larry zdobył trzy tytuły mistrzowskie i trzy nagrody MVP, pomógł uratować pogrążoną w kryzysie NBA i stał się najpopularniejszym sportowcem w historii Bostonu. Ja w tych czasach wszedłem w okres dojrzewania, skończyłem liceum i studia, i wyprowadziłem się z domu. Kiedy Bird kończył karierę w 1992 roku, moje życie dopiero się zaczynało.

A teraz...

---

\* Jeden z moich czytelników zażartował kiedyś: „Tommy jest podczas meczów Celtics tak samo obiektywny, jak Fred Goldman, kiedy mówi się o O.J. Simpsonie”. [Fred Goldman to ojciec domniemanej ofiary Simpsona – przyp. tłum.].

\*\* John Y. był właścicielem Braves i „sprzedał” ich za Celtics w skomplikowanym transferze obejmującym siedmiu zawodników, dwa wybory w drafcie (jednym z nich okazał się później Danny Ainge) i gotówkę. Poprzedni właściciel Celtics, Irv Levin, przeniósł Braves do San Diego i zmienił ich nazwę na Clippers. Gdyby więc John Y. doprowadził do usunięcia Reda, stałby się osobą bezpośrednio odpowiedzialną zarówno za Clippersów ze Wschodu, jak i Clippersów z Zachodu. Pewnie skończyłoby się tym, że oddalibyśmy prawa do Birda do Nowego Jorku za Toby’ego Knighta i Joego C. Meriweathera [dwaj bardzo przeciętni zawodnicy występujący w Knicks w latach 70. – przyp. red.].

\*\*\* Mieliśmy 12 miesięcy na to, żeby podpisać kontrakt z Birdem, zanim ponownie zgłosi się do draftu, więc wszyscy mieszkańcy Nowej Anglii zaczęli kibicować jego uniwersyteckiej drużynie ISU. Bird poprowadził niepokonaną drużynę Sycamores do Finałów NCAA w 1979 roku. Byli wtedy w Nowej Anglii popularniejsi od miejscowych uniwersyteckich drużyn z Boston College i Holy Cross.



Zastanówmy się nad czymś. Odkąd nauczyłem się chodzić, moja miłość do sportu była ważniejsza niż wszystko inne. Wyjątkowo pokochałem koszykówkę, pewnie dlatego, że mój ojciec kupił karnet Celtics po tym, jak matka oprotowała jego potencjalną karierę motocyklisty. W ciągu trzech pierwszych lat zdobyliśmy dwa tytuły mistrzowskie, potem nastąpił ciąg fatalnych zdarzeń, które sparaliżowały drużynę i odstraszyły tak wielu kibiców, że załapaliśmy się z ojcem na najlepsze miejsca, jakie można sobie było wymarzyć w najlepszej hali świata. A do tego te miejsca zdobyliśmy tuż przed tym, jak do drużyny dołączył jeden z pięciu najlepszych koszykarzy w historii. Nie był to tylko ciąg szczęśliwych zdarzeń – to jak wygrana w totolotka trzy razy z rzędu. Jakby Justin Timberlake pukał Britney Spears, Jessicę Biel, Scarlett Johansson i Cameron Diaz w ich najlepszych latach, po czym dodał do swojej kolekcji jeszcze Lindsay Lohan, Angelinę Jolie i Katie Holmes\*. Dorastałem i uczyłem się koszykówki, patrząc na profesora Birda i rozsmakowując się we wszystkich wiążących się z tym niuansach. Przyglądanie się komuś, kto bez przerwy szuka możliwości, żeby oddać piłkę koledze, było zaraźliwe i koledzy Birda z drużyny zaczęli grać tak samo zespołowo, jak on sam. Nawet tacy, w przypadku których na początku wydawało się to niemożliwe, jak McHale i Parish. Czułem się tak, jakbym patrzył na grupkę facetów bez poczucia humoru, spędzających czas z jakimś totalnym jajcarzem. I totalny jajcarz oczywiście z czasem wpływa na podwyższenie ilorazu komediowej inteligencji u wszystkich innych\*\*. Kiedy wystarczająco długo przyglądałeś się Birdowi, to zaczynałeś dostrzegać te same niuanse, które widział on – zamiast reagować na akcję, która się właśnie rozegrała, reagowałeś podczas samej akcji. *McHale wchodzi pod kosz, widzę go, podaj mu piłkę, o właśnie tak... Łatwe punkty!* Bird podarował nam wspólny szósty zmysł i pozwolił doceniać ten sport w bardziej wyrafinowany sposób. To jak dar. Właśnie tak.

I dlatego czytasz tę książkę. Dorastałem, przyglądając się koszykówce rozgrywanej tak, jak powinno się to robić. Przyglądając się facetom, którzy próbują podać piłkę niekrytemu koledze, a nie rzucać samemu. Facetom, którzy dają z siebie wszystko i wypadają najlepiej w decydujących chwilach. Gdy Bird kończył karierę, miałem już doktorat z koszykówki. Gdy twoja ukochana drużyna pozyskuje w okresie twojego dorastania jakiegoś dominatora – jak Lakers Magica, Bulls MJ-a, Broncos Elwaya, Oilers Gretzky'ego – to naprawdę człowiek czuje się tak, jakby

---

\* Umieściłem na liście Katie Holmes przez wzgląd na dawne czasy. To nie jej wina, że Tom Cruise zrobił z niej manekina.

\*\* Kiedy pracowałem przy show Jimmy'ego Kimmela, nazywaliśmy to Następstwem Adama Carolla [amerykański komik, gospodarz *Adam Carolla Show* – przyp. red.]. Carolla do wszystkiego potrafił podejść z humorem i koniec końców wszyscy, którzy go otaczali, stawali się zabawniejsi, bo chcieli dotrzymać mu kroku.

wygrał na loterii. Nawet teraz, 20 lat później, jestem w stanie odtworzyć najlepsze akcje Birda, tak jakbym wspominał chwile z własnego życia. Jak wtedy, kiedy wrzucił 60 punktów Atlancie, a rezerwowi Hawks przybijali sobie piątki, patrząc na jego popis\*. Albo wtedy, gdy przez niespełna trzy kwarty rzucił 42 punkty w meczu przeciwko Doktorowi J., co doprowadziło Doca do takiej frustracji, że w pewnym momencie rzucił się sobie do gardeł na środku boiska\*\*. Mam setki takich wspomnień. Najlepsze momenty kariery Birda stały się też moimi najlepszymi. To zabawne, że sport tak działa, prawda? Łapię się na tym, że coraz bardziej brak mi tych chwil z Birdem, kiedy do wszystkich zgromadzonych w hali Garden docierało w tym samym momencie, że zaraz będą świadkami czegoś magicznego. Przez halę przechodził wtedy szmer podziwu, który przypominał elektryzującą atmosferę tuż przed rozpoczęciem koncertu rockowego albo mistrzowskiej walki bokserskiej\*\*\*. Kiedy czuło się tę atmosferę, to wiadomo było, że zaraz nastąpi coś wyjątkowego. Pewnie myślicie sobie teraz, że jestem jakimś szaleńcem, ale naprawdę – każdy, kto chodził wtedy na mecze, wie dokładnie, o czym mówię. Czuło się to w powietrzu – *Larry przejmuję kontrolę*.

Przez większość jego dwóch pierwszych sezonów ('80 i '81) wyczuwało się lekki dystans pomiędzy Birdem i kibicami Bostonu – on wybudował tę ścianę, a my nie byliśmy w stanie się przez nią przebić. Był nieśmiały w kontaktach z dziennikarzami, czuł się niekomfortowo podczas towarzyszących mu owacji na trybunach, zachowywał się jak ktoś obdarowany niebywałym talentem sportowym i niczym poza tym. Nie przeszkadzało mu, że jednym z jego przydomków był „Wieśniak z French Lick”. Myśleliśmy, że jest głębem, że nie potrafi się wypowiedzieć, że nie zależy mu na kibicach, że chce po prostu być sam. To wszystko odeszło w niepamięć w końcowej fazie siódmego meczu Finałów Wschodu, ostatniego aktu niesamowitego potrójnego comebacku w rywalizacji przeciwko Filadelfii. Nie ma żadnych wątpliwości: to był najlepszy pojedynek w historii play-offów NBA. Stały naprzeciwko siebie dwie drużyny, które w sezonie zasadniczym wygrały ponad 60 meczów, dwaj

---

\* Nie, nie zmyśliłem tego sobie. Podczas drugiej połowy tego meczu (12 marca 1985 roku) rezerwowi Hawks przynajmniej cztery razy podskakiwali w górę z zachwytem, podnosząc dłonie, i kładli się na siebie, nie mogąc uwierzyć w to, co widzą.

\*\* To była najbardziej szokująca i nieprawdopodobna bijatyka sportowa w historii. Odbyła się jakieś sześć metrów ode mnie. Nigdy tego nie zapomnę. Czułem się, jakbym patrzył na Świętego Mikołaja naparżającego się z Zajączkiem Wielkanocnym.

\*\*\* Zastanawiałem się, czy nie dorzucić tu jeszcze dwóch ostatnich minut przed rozpoczęciem pokazu dziewczyn zamówionych na wieczór kawalerski, ale dałem sobie spokój.

znienawidzeni rywale. Po obu stronach składy naładowane gwiazdami\*, w głównych rolach dwóch spośród najlepszych skrzydłowych w historii, cztery mecze rozstrzygające się w ostatniej akcji, Celtics wygrywający w sumie różnicą czterech punktów trzy mecze z rzędu, w których porażka byłaby równoznaczna z ich odpadnięciem. Kulminacją był mecz numer siedem – zażarta bitwa, w trakcie której sędziowie pochowali gwizdki i pozwolili na pojedynek będący skrzyżowaniem koszykówki z rugby. Znacze to stare sportowe powiedzenie: „Te dwie drużyny nie pałają do siebie miłością”? Tak właśnie było w siódmym meczu. Jeśli ktoś podjął próbę wejścia pod kosz, żeby zdobyć punkty rzutem kelnerskim lub wsadem, to wiadomo było, że skończy, leżąc na parkiecie. Jeśli ktoś próbował stanąć za wysokim przeciwnikiem, żeby odebrać mu piłkę przy zbiórce, to wiadomo było, że dostanie łokciem w twarz. A jeśli ktoś podjął lekkomyślną próbę kozłowania piłki w podkoszowym tłoku, mając nadzieję na gwizdek sędziów... no to powodzenia. To był męski pojedynek. Dziś już takich nie ma. I nie będzie.

Kibice też już przestali się zachowywać jak kibice – byli bardziej jak Rzymianie wiwatujący na cześć gladiatorów w Koloseum. Przy jednopunktowym prowadzeniu w ostatniej minucie Dawkins z Filadelfii ruszył w kierunku kosza, został powalony na ziemię przez Parisha i McHale’a i upadając na parkiet, oddał paskudny rzut o tablicę. Bird wskoczył w tłum, zebrał piłkę, wydostał się z tego tłoku (trzech graczy leżało na parkiecie, niczym w ostatniej scenie filmu *Rollerball*), po czym ruszył pod przeciwległy kosz, zatrzymując się w pewnym momencie i oddając celny rzut od tablicy z czterech i pół metra. Sixers wzięli przerwę na żądanie, podczas gdy Larry biegł przez boisko z uniesionymi w górę rękami, napawając się ekstazą tłumu, aż w końcu machnął zaciśniętą pięścią w geście triumfu. Bird nigdy wcześniej nie zwracał uwagi na kibiców – po raz pierwszy w karierze okazał jakieś emocje. Wreszcie rzucił nam kość. Wpadliśmy w totalną ekstazę, wrzeszczeliśmy przez całą przerwę, zagłuszając muzykę i radując się, kiedy odgłos syreny dał sygnał do powrotu zawodników na parkiet\*\*. Gdy Celtics wygrali po tym, jak przeciwnicy spartolili

---

\* Bird i Erving (cztery tytuły MVP), Robert Parish (jeden z 50 najlepszych koszykarzy w historii), Kevin McHale (podobnie), Tiny Archibald (również), Maurice Cheeks (jeden z najlepszych rozgrywających tamtego dziesięciolecia), Andrew Toney (najbardziej niedoceniany koszykarz tamtej dekady), Bobby Jones (najlepszy rezerwowy swoich czasów), Cedric Maxwell (MVP Finałów w 1981 roku), Darryl Dawkins, Caldwell Jones, M.L. Carr, Gerald Henderson, Rick Robey... Ależ to był pojedynek. Wniosek jest taki sam jak zawsze: powiększanie NBA to zły pomysł.

\*\* Jeden z wielu wątków pobocznych z czasów sprzed pojawienia się telebimów: kibice w Garden nagradzali drużynę owacją na stojąco przez cały czas trwania przerwy na żądanie. Okazywaliśmy w ten sposób naszą totalną aprobatę. Tak jakbyśmy chcieli im powiedzieć: „Zrobiliście tyle dla nas, więc możemy wam się odwzajemnić przynajmniej w taki sposób”. Teraz jesteśmy niestety zbyt zajęci oglądaniem pocałunków na

alley-oopa i wszyscy kibice wpadli na parkiet, Bird przez kilka sekund pozostał na środku boiska otoczony przez tłum fanów, podskakując niczym rozentuzjarmowana uczennica, trzymając się za głowę, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Ze wszystkich wielkich zwycięstw epoki Birda to był jedyny mecz niedecydujący o mistrzowskim tytule, po którym kibice Bostonu przez wiele godzin wążęśli się wokół hali, trąbiąc klaksonami, przybijając piątki, padając sobie w ramiona i skandując „Sixers są do bani!”. Chcieliśmy, żeby Bird stał się nowym Billem Russellem, nowym Orrem, nowym Havlickiem. I po raz pierwszy wydawało się, że jest to możliwe.

To, co stało się później, nie było zaskoczeniem: w 1981 roku Bird sięgnął po swój pierwszy tytuł mistrzowski, w 1984 po pierwszą nagrodę MVP, potem w pamiętnym siódmym meczu Półfinałów Wschodu przeciwko Knicks skopał tyłek Bernardowi Kingowi, a w Finałach w wielkim stylu pokonał wstrętnych Lakers, zaliczając w piątym meczu jeden ze swoich najwspanialszych występów, kiedy na zewnątrz było 36 stopni Celsjusza, a w pozbawionej klimatyzacji hali Garden ze 136. Kibice mdleli na trybunach. Ładnie ubrane gospodynie domowe wycierały makijaż spływający po czole\*. Grubi Irlandczycy mieli plamy od potu pod pachami swoich zielonych T-shirtów Celtics. Nawet odwodnieni zawodnicy Lakers nie mogli się doczekać powrotu do Kalifornii – Kareem i Worthy musieli podczas przerw korzystać z masek tlenowych. Bird oczywiście był zachwycony tymi bezlitosnymi okolicznościami i zakończył mecz ze zdobyczą 34 punktów i 17 zbiórek, a przegrzani kibice wiwatowali na jego cześć. Gdy Bird dobijał ich w czwartej kwarcie, Lakersi poprosili o czas, a M.L. Carr zaczął rękami wachlować Birda... ale Larry go pogonił, jakby poczuł się urażony. Jakby M.L. chciał mu zepsuć przyjemność napawania się tą chwilą. Wyobraźcie sobie, że psuje wam się samochód w Dolinie Śmierci, przy 43-stopniowym upale, a wy jesteście uwięzieni w aucie wraz z 17 innymi osobami. Właśnie tak gorąco było wtedy w Garden, ale my nic sobie z tego nie robiliśmy. Wszyscy wiedzieli, że Bird jest Bogiem i że Lakers staniają się na nogach jak wymoczki. I byliśmy częścią tego wydarzenia. Nas też zalewał pot.

W tamtych czasach Bird i hala Garden współpracowali ze sobą niczym Lennon z McCartneyem. Wyobraźcie sobie Birda grającego w nowej hali TD Banknorth Garden, lekko zatrwożonego, kiedy podczas przerw na żądanie z głośników zaczyna

---

ekranie albo gapieniem się na sutki cheerleaderek.

\* Moje miejsce sąsiadowało z miejscem zajmowanym przez szykowną panią z jednej z ekskluzywnych dzielnic Wellesley/Weston, noszącą wspaniałą biżuterię, wyglądającą, jakby chodziła do kosmetyczki przynajmniej ze cztery razy w tygodniu. I nawet ona się spociła. Myślę, że jej gruczoły potowe pracowały wtedy po raz pierwszy w życiu.

pobrzmiwać muzyka taneczna, a zbyt podekscytowani koleś strzelają z armatek T-shirtami w kierunku publiczności? Ja też nie. Kiedy era Birda osiągnęła punkt szczytowy w 1986 roku, mariaż pomiędzy właściwą drużyną i właściwymi kibicami również sięgnął ideału. W sezonie zasadniczym nasza drużyna wygrała 67 meczów, a do tego zwyciężyła w 50 z 51 spotkań na własnym parkiecie (wliczając play-offy). Pamiętajcie scenę z filmu *Mistrzowski rzut* zaraz po tym, jak Jimmy Chitwood kończy swoją przemowę, w której mówi: „Ja gram, trener zostaje”, dołącza do zespołu, po czym następuje ten inspirujący montaż scen pokazujących, jak „zawodnicy stają się drużyną”? Tak właśnie wyglądał każdy mecz na naszym boisku. Sezon zakończył się zejściem Birda z parkietu po szóstym meczu Finałów, w którym zmasakrował Rockets, zaliczając triple-double. Jego koszulka była cała mokra od potu, a kibice wrzeszczeli przepelnieni szczęściem. To był idealny obrazek. W tamtym sezonie wszystko było idealne. A wyobraźcie sobie, co by było, gdyby mój tata kupił ten kretyński motocykl.

\*

Pozostawało tylko jedno pytanie: jak wiele wspaniałych chwil ma jeszcze przed sobą Bird? W swoich najlepszych latach, w sezonach '86 i '87, zaczął ostro pyskować na boisku (nikt nie był w tym lepszy)\*\* i wygłupiać się w trakcie meczów (tak jak w jednym ze spotkań przeciwko Portland, w którym postanowił oddawać wszystkie rzuty lewą ręką), jakby już mu się nudziło i musiał podbijać stawkę, rzucając wyzwania samemu sobie. Słynna anegdota o pierwszym konkursie rzutów za trzy punkty w historii głosi, że kiedy wszedł do szatni, poinformował wszystkich, że walczą o drugie miejsce. Według innej opowieści Xavierowi McDanielowi z Seattle powiedział, z którego dokładnie miejsca zamierza oddać decydujący o zwycięstwie rzut, po czym dotrzymał słowa, rzucając wprost sprzed twarzy X-Mana. Z tego typu anegdot można by nakręcić cały film dokumentalny i rzeczywiście NBA Entertainment w końcu to zrobiła, wypuszczając film *Larry Bird: A Basketball Legend*\*\*\*. Po kolejnych zwycięskich rzutach i innych historiach tego typu zawodnik z numerem 33 wylądował na bostońskim Mount Rushmore razem z Orrem, Williamsem i Russellem. Wydawało nam się, że potrafi wszystko. Że jest superbohaterem. Kiedy przed rozpoczęciem meczu ogłaszano pierwszą piątkę, nazwisko Birda było wywoływane jako ostatnie, żeby wszyscy kibice Celtics mogli krzyczeć najgłośniej, jak

---

\*\* Moja ulubiona akcja: kiedyś przed meczem Bird powiedział Chuckowi Personowi z Indiany, że ma dla niego prezent gwiazdkowy. Podczas meczu trafił za trzy tuż sprzed ławki rezerwowych Pacers, odwrócił się do Persona i powiedział: „Wesołych Świąt, kurwa”.

\*\*\* W serwisie filmowym imdb.com można go znaleźć również pod innym tytułem, *Pasja Jezusa Chrystusa*.

potrafilo, zaraz po tym, jak spiker wołał: „I drugi skrzydłowy, z Indiana State...”. A i tak nie byliśmy w stanie krzyczeć tak głośno, żeby w pełni oddać nasze uwielbienie dla niego.

Kiedy dwa dni po drafcie w 1986 roku Lenny Bias przedawkował, Bird stracił młodego kolegę z drużyny, który mógłby przedłużyć mu karierę, przejąć część obowiązków strzeleckich i pozwolić na spędzanie na parkiecie mniejszej liczby minut. W końcowych latach kariery poobijane ciało zaczęło go zawodzić po zbyt wielu ostrych faulach i zbyt wielu nieostrożnych pogoniach za uciekającymi piłkami. W lidze pojawili się silni czarnoskórzy skrzydłowi, którzy sprawiali, że goście tacy jak Kelly Tripucka czy Kiki Vandeweghe, nad którymi w przeszłości dominował Bird, odchodzili w zapomnienie\*. A kontuzjowane pięty i poobijane plecy Birda sprawiały, że ledwo był w stanie przemieszczać się po parkiecie. Robił wszystko, bazując na odruchach i przyływach adrenaliny. W swoich dwóch ostatnich sezonach ('91 i '92) opuścił po trzy czy cztery tygodnie, spędzał wiele nocy w szpitalu podwieszony na wyciągu, by odciążyc plecy, po czym powracał do gry w nieporęcznym gorsecie, jak gdyby nigdy nic\*\*. I zaliczał kolejne mecze nadawane dziś na ESPN Classic, takie jak niesamowity piąty mecz przeciwko Indianie z 1991 roku, kiedy uderzył głową w parkiet, po czym powrócił do gry niczym Willis Reed i poprowadził Celtów do zwycięstwa nad Pacers. Albo 49 punktów przeciwko Blazers w meczu transmitowanym przez telewizję, kiedy publiczność skandowała: „Lar-ree! Lar-ree!”, a on odpowiedział, doprowadzając do wyrównania rzutem za trzy. To było tak, jakbyśmy patrzyli na karaoke w wykonaniu Birda. Punkt kulminacyjny miał miejsce w meczu na własnym parkiecie przeciwko Pistons w sezonie '91, kiedy Birdowi nic nie wychodziło, po czym do hali wleciał ptak i zatrzymał grę, siadając na środku parkietu. Kibice szybko podłapali powiązanie z nazwiskiem Birda i zaczęli skandować „Lar-ree! Lar-ree! Lar-ree!”. I jedyny raz w ciągu całej serii poobijany bohater pokazał, że jeszcze może. Zaczął trafiać rzuty z wyskoku i Celtics wygrali ważny mecz. Kiedy szczęśliwi opuszczaliśmy halę, ojciec zapytał mnie: „Czy to się naprawdę stało?”.

---

\* Szkoda, że najlepsze lata Birda rozminęły się ze szczytem kariery Scottiego Pippena, najlepszego defensora wśród skrzydłowych w historii NBA, kogoś, kto był dla Birda fantastycznym przeciwnikiem. Kiedy Pippen dojrzał koszykarsko, Bird akurat kończył karierę. Nasza strata.

\*\* Gorset Birda sprawiał, że wyglądał, jakby był gruby i nieforemny, trochę jak Ralph Macchio w *Karate Kid 3*. Podczas drugiej rundy play-offów '92 praktycznie nie był w stanie się poruszać, ale i tak zdominował kluczowy szósty mecz przeciwko Cavs, głównie dzięki podaniom na obwód (16 punktów i 14 asyst). Dopiero przed siódmym meczem do Cavs dotarło, że nie jest w stanie kozłować, więc jedyne, co muszą zrobić, to naciskać go w obronie, kiedy jest przy piłce. Wygrali różnicą 18 punktów, trafiając 59% rzutów z gry. Przykry koniec kariery Legendy.

Stało się. Chyba.

Kiedy w 1992 roku Bird zakończył karierę, zrobił to z jedyne go słusznego powodu: jego ciało nie było już w stanie wytrzymać reżimu związanego z ciężkim terminarzem NBA. W przeciwieństwie do Magica nigdy nie wrócił na parkiet, nie zniżył się do gry w meczach weteranów\*. W przeciwieństwie do Jordana nigdy nie zdecydowałby się na męczarnię w przeciętnej drużynie, kiedy najlepsze lata miał już za sobą. Odszedł i pozostał wierny tej decyzji. Celtics nigdy się nie odbudowali. Choć to mało powiedziane. Wszystko zaczęło się od Biasa, ale kiedy Bird skończył karierę, to Celtics też umarli i stali się czymś innym. Potem zmarł Reggie Lewis, McHale skończył karierę, hala Garden została zburzona, M.L. Carr wszystko schrzanił, przegraliśmy loterię draftową, w której główną nagrodą był Tim Duncan, potem Rick Pitino wszystko schrzanił, potem Chris Wallace wszystko schrzanił, potem Danny Ainge wszystko schrzanił i gdzieś podczas tej koszarnej serii Celtowie przestali być Celtami. Po tym, jak Bird zawiesił na kołku swoje converse'y, mój ojciec trzy razy prawie zrezygnował ze swoich miejsc, które nagle stały się bardzo drogie. Ale nie był w stanie tego zrobić. Po tym, jak w 2007 roku Celtics przegrywali mecz za meczem (w sumie ponieśli 61 porażek), a mimo to i tak nie udało im się zapewnić sobie w drafcie pozycji umożliwiającej wybór Kevina Duranta albo Grega Odena, cena za bilet na jeden mecz w dobrym miejscu na wysokości linii środkowej wynosiła 175 dolarów. Tak jest, to, co w 1974 roku wystarczało na karnet na cały sezon, w 2008 roku nie pozwalało na zakup połowy biletu. Nikt nie mógłby mieć do tatka pretensji, gdyby po tak fatalnym sezonie podjął decyzję o rozstaniu, zresztą zdarzył się jeden taki tydzień, gdy był już bardzo bliski tej decyzji. Ale koniec końców nie potrafił jej podjąć. Gdyby zrezygnował z tego karnetu i nie miał okazji oglądać z bliska, jak Celtom udaje się wrócić na właściwe tory, nigdy by sobie tego nie darował. Dlatego odnowił karnet i po raz 15. z rzędu miał nadzieję na to, że coś się odmieni. Wszystko jedno, czy miałyby się to stać dzięki transferowi, wyborowi w drafcie, czy też dzięki temu, że Brian Scalabrine po zetknięciu się z reaktorem nuklearnym uzyskałby nagle nadludzkie zdolności. Tata wciąż miał nadzieję na kolejny mecz w stylu słynnego pojedynku Birda z Dominikiem\*\*, w którym Larry wznosił się na najwyższy poziom tyle razy, że można było bez problemu wyczuć, że coś się za chwilę wydarzy. Po takim doświadczeniu

---

\* Albo, co gorsza, jak w przypadku Magica, w meczu legend i celebrytów, albo w konkursie Shooting Stars podczas Weekendu Gwiazd.

\*\* W siódmym meczu Półfinałów Konferencji Wschodniej Wilkins zdobył 47 punktów, ale Bird odpowiedział mu, rzucając 20 w ostatniej kwarcie. W pewnym momencie rzucili sobie nawzajem po pięć koszy z rzędu, a Brent Musburger krzychał: „Właśnie jesteście świadkami pokazu wielkości”.

nie mogliśmy ot tak po prostu pójść sobie do domu, więc wstąpiliśmy do lodziarni Bailey's w Wellesley i zamówiliśmy sobie czekoladowe desery lodowe. Przez jakieś 20 minut siedzieliśmy w milczeniu. Po prostu jedliśmy lody i kręciliśmy głowami w niedowierzaniu. Bo i jak mieliśmy to skomentować? Jak mieliśmy ubrać to w słowa? Nie mieliśmy nic do powiedzenia. Byliśmy wykończeni. Ale mieliśmy fart.

Niełatwo zrezygnować z kolejnych potencjalnych pomeczowych wizyt w Bailey's, nawet jeśli NBA robi wszystko, by takie chwile zdarzały się jak najrzadziej. Od kiedy liga liczy 30 zespołów, szczęście stało się dużo ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Musisz mieć fart w loterii draftowej, fart z młodymi zawodnikami, fart z transferami, we wszystkim musisz mieć fart. Phoenix mogło wybrać Amar'e Stoudemire'a tylko dzięki temu, że wcześniej osiem drużyn go pominęło. Portland wybrało Grega Odena\*, mając 5,3% szans na pierwszy wybór w drafcie. Dirk Nowitzki trafił do Dallas, bo Milwaukee uznało, że oddanie praw do niego w zamian za Roberta Traylora to świetny pomysł. Nowy Orlean mógł wybrać Chrisa Paula, bo trzy inne głupie drużyny go pominęły. Do cholery, nawet Auerbach pozyskał Birda, bo miał fart. Pięć innych drużyn mogło go wybrać przed Bostonem, ale wszystkie zrezygnowały. To jest właśnie NBA. Musisz być sprytny i musisz mieć fart. Kiedy siedem lat po tragicznej śmierci Biosa zmarł Reggie Lewis, Celtics z pewnością przestali mieć fart i z pewnością przestali być sprytni. Ale mój ojciec konsekwentnie każdego lata odnawiał te karnety, trzymając kciuki za odwrócenie fortuny i licząc na to, że stare czasy w końcu powrócą.

Może wyda się wam to dziwne, ale trudniej jest wieść życie kibica koszykówki, gdy twój klub osiąga wielkie sukcesy, a potem spada na dno, niż wtedy, gdy nigdy na tym szczyście nie był. Wyobraźcie sobie, że drużyna koszykarska jest jak samolot. Jeśli nigdy nie leciałeś biznesklasą, to nie wiesz, co tracisz, kiedy tłoczysz się w klasie ekonomicznej. Ale jeśli przez kilka lat latasz biznesklasą, rozkładasz sobie siedzenie do pozycji leżącej, wykorzystujesz mnóstwo miejsca na nogi, popijasz drogie drinki, zjadasz steki i ciepłe ciasteczka czekoladowe, siedzisz obok celebrytów i ich pięknych żon i czujesz się jak książę? Powracasz do klasy ekonomicznej i cały czas myślisz sobie: „O rany, ale syf!”. To właśnie przyniósł mojemu ojcu zwrot podatku w 1973 roku – dwa dziesięciolecia koszykówki, mnóstwo szczęśliwych wspomnień, 40 czy 50 wspaniałych nocy rocznie, a kiedy już myślisz sobie, że lepiej być nie może, szansa na to, żeby być świadkiem całej kariery jednego z najlepszych koszykarzy wszech czasów... A kiedy wszystko to zwolniło i Celtics przesiedli się z klasy biznes do ekonomicznej, została nadzieja na to, że to tylko chwilowy kryzys

---

\* [Pisząc to, Simmons jeszcze nie wiedział, że wybrany z jedynek w drafcie w 2007 roku Oden będzie jedną z najgorszych jedynek draftu w historii NBA].



i że zaraz znowu będziemy lecieć biznesem. I nawet jeśli oznaczało to konieczność płacenia co roku ceny za biznesklasę, to ojciec nie zamierzał się tym przejmować. Był w pełnej gotowości, żeby znowu przesiąść się do pierwszych rzędów samolotu. Zawsze był na to gotów.

Podjął decyzję, że każdej wiosny będzie za to płacił.

Bez względu na wszystko.

\*

Nikt, kto nie widział Birda w jego najlepszych latach, albo Magica, Jordana, albo Knicks w latach 70. czy Lakers w '01, albo jakiegokolwiek innego magicznego zawodnika czy drużyny, która tak skutecznie porywała kibiców, nie zrozumie znaczenia poprzednich zdań. Żeby móc to pojąć, trzeba to było przeżyć. Oczywiście wpływ Birda z czasem malał, taki proces ma miejsce w przypadku każdego wspaniałego sportowca, który prędzej czy później kończy karierę\*. Historie i anegdoty przetrwają, podobnie jak filmiki na YouTube i powtórki najlepszych akcji na ESPN Classic, ale to wszystko i tak nigdy nie wystarczy. Wiosną 2007 roku trafiłem w NBA TV na powtórkę pożegnalnego meczu Havlicka, nadawaną w niedzielę rano, kiedy jedynymi telewidzami byłem prawdopodobnie ja i rodzina Havlicków. Z tego meczu zapamiętałem dwie rzeczy. Po pierwsze, rozpoczynający mecz rzut sędziowski opóźnił się o osiem i pół minuty, bo kibice Celtics nie przestawali wiwatować po tym, kiedy wywołano Hondo\*\*. Jakoś nie widzę szans na to, żeby w 2009 roku podobny zaszczyt spotkał... kogokolwiek\*\*\*. I po drugie – według archaicznie wyglądających grafik CBS pokazywanych w przerwie meczu statystyki Havlicka 9 kwietnia 1978 roku wyglądały tak:

*Najwięcej meczów w historii (1269)*

*Najwięcej meczów w play-offach (172)*

---

\* Proroczy cytat z Birda z 1986 roku: „Widzę, że ludzie szybko zapominają, jak wspaniali byli kiedyś starsi koszykarze. I wiem, że mnie też to kiedyś czeka”.

\*\* [Przydomek Havlicka].

\*\*\* Osem minut i 30 sekund. To dłużej, niż trwa *Stairway to Heaven*, dłużej niż walka Hulka Hogana z Żelaznym Szejkiem o mistrzostwo WWF w Madison Square Garden, dłużej niż decydująca akcja Patriots w finale 36. Super Bowl (wliczając przerwy w grze), dłużej niż wszystkie sceny erotyczne w *Nagim instynkcie*, dłużej niż najdłuższe podziękowania Steviego Wondera po otrzymaniu nagrody Grammy, dłużej niż czas, po którym przestaliśmy wierzyć, że Ricky Martin jest hetero, dłużej niż pierwszy akt pierwszego *Chevy Chase Show*, dłużej niż kulminacyjna scena walki w *Rockym*, dłużej niż czas, na który udało się Davidowi Beckhamowi przekonać Amerykanów, że piłka nożna jest ciekawa, dłużej niż którekolwiek z występów Jeffa Rossa podczas roastów dostępnych na YouTube.

*Jedyny koszykarz, który zdobywał 1000 punktów przez 16 sezonów z rzędu  
Trzeci na liście strzelców wszech czasów (26 895 punktów)  
Drugi w klasyfikacji największej liczby minut spędzonych na parkiecie  
(46 407)*

Kiedy 30 lat później patrzę na te statystyki, jestem w szoku. Owszem, pamiętałem, że Hondo poprowadził nas do mistrzostwa w 1976 roku i że był jednym z najlepszych koszykarzy swoich czasów, fizycznym wybrykiem natury, kimś, kto w każdym meczu grał po 42–44 minuty i się nie męczył. Pamiętam, że w ostatnim sezonie przed każdym meczem rywale obdarowywali go prezentami\*. Ale trzeci na liście najlepszych strzelców, drugi w liczbie rozegranych minut, pierwszy w liczbie meczów? John Havlicek? Pogrzebałem trochę i okazało się, że Hondo 13 razy z rzędu był wybierany do Meczu Gwiazd, cztery razy do pierwszej i siedem razy do drugiej piątki NBA, osiem razy zdobywał mistrzostwo NBA i zgarnął nagrodę MVP Finałów w 1974 roku, w 1980 roku z okazji 35-lecia NBA został wybrany do jedenastki najlepszych koszykarzy wszech czasów. Dziś wciąż jeszcze jest dziesiąty w rankingu najlepszych strzelców, ósmy w rankingu rozegranych minut, siódmy w punktach zdobytych podczas play-offów\*\*. W każdej klasyfikacji znalazłby się wśród 20 najlepszych koszykarzy wszech czasów. Ale poproście 100 zagorzałych kibiców NBA poniżej trzydziestki, żeby wymienili dwudziestu najlepszych według nich graczy. Jak myślicie, ilu z nich wymieni Havlicka? Trzech? Może pięciu? Ilu z nich będzie w ogóle w stanie poprawnie wymówić jego nazwisko?

Co prowadzi nas do kolejnego pytania: czy wielkość ma swoją datę ważności?

Kilka tygodni po retransmisji tamtego meczu Havlicka młody LeBron James rzucił 48 punktów i w pojedynkę ocalił Cavs w rywalizacji z Pistons (podobnie zresztą jak całe lice play-offy '07). Ewidentnie stało się wtedy coś wielkiego. Marv Albert ocenił ten występ jako jeden z najlepszych w historii play-offów, ale wydawało się też wówczas, że to przełomowe spotkanie w karierze LeBrona – wieczór, gdy wzbil się na wyższy poziom. Kiedy eksperci, dziennikarze i blogerzy prześcigali się w porównaniach, choć raz wydawało się, że mają one uzasadnienie. Niektórzy twierdzili nawet, że „choć MJ był wielki, to nigdy nie zaliczył takiego meczu”, tak

---

\* Pożegnalne tournée dla kończących karierę gwiazd stanowiło dziwną tradycję w latach 70. i 80. Kulminacja miała miejsce w 1986 roku, kiedy odchodził Julius Erving, a tradycja dobiegła końca po zakończeniu kariery przez Kareema w 1989 roku. W obu przypadkach było mnóstwo emocji: przy Docu, bo wiadomo było, że będziemy za nim tęsknić, przy Kareemie – bo wszyscy się cieszyli, że wreszcie odchodzi.

\*\* [Książka ukazała się w 2009 roku. W 2018 roku Havlicek jest 16. wśród najlepszych strzelców, 13. w liczbie rozegranych minut, 12. w punktach zdobytych podczas play-offów].

jakby niesamowita kariera Jordana musiała zostać umniejszona tylko po to, żeby móc w pełni docenić osiągnięcie LeBrona. Dzień później napisałem w felietonie na stronie ESPN, że Jordan nigdy nie zdominował fizycznie rywali w sposób, w jaki LeBron zmiażdżył wtedy Pistons, porównując jego występ do najlepszych lat baseballisty i futbolisty Bo Jacksona.

Kilka dni później, kiedy wszyscy już trochę ochłonęli, zacząłem sobie przypominać niektóre z najlepszych chwil Jordana – jak na zimno wykończył Drexlera w Finałach '92, jak przetrwał brutalną grę Knicksów Riley, jak wykradł wygraną Pacersom w serii z '98, wymuszając faule i ciągle stając na linii rzutów wolnych, jak zakończył karierę w Chicago genialną sekwencją rzut kelnerski – przechwyty – rzut z wyskoku w Utah. Zacząłem – tak jak prawie wszyscy – żałować tego, że wpadłem w pułapkę i chciałem deprecjonować osiągnięcia staruszka, żeby móc koronować nowego króla. Obiecałem sobie wtedy, że nigdy więcej tego nie zrobię. Jedną z moich ulubionych książek jest *Wait Till Next Year*, w której dziennikarz sportowy (Mike Lupica) i scenarzysta hollywoodzki (William Goldman) w kolejnych rozdziałach opisują na zmianę pewien szalony dla nowojorskiego sportu sezon. Goldman, pisząc z perspektywy kibica, żarliwie broni dziedzictwa Wilta Chamberlaina w rozdziale zatytułowanym „Aż po śmierć”, który jest jednym z moich ulubionych tekstów i stanowi główną inspirację dla powstania niniejszej książki. Zdaniem Goldmana wielcy sportowcy znikają z naszych wspomnień wcale nie dlatego, że zastępują ich lepsi zawodnicy, ale dlatego, że o nich zapominamy, albo dlatego, że nasze wspomnienia zostają skażone przez rzeczy, które nie mają nic wspólnego ze sportem (jak to, że Bill Russell okazał się nędznym komentatorem sportowym, a O.J. Simpson nędznym byłym mężem). Najlepszy fragment brzmi: „Najtrudniejsza walka sportowca to bitwa o nasze wspomnienia. Przebiega ona stopniowo. Zaczyna się, zanim jeszcze masz tego świadomość, a kończy się fatalnym wypadnięciem z łask. To bitwa, która toczy się aż do śmierci”.

Książka ukazała się w 1988 roku, kiedy Bird i Magic znajdowali się na absolutnym szczycie, a Jordan był o krok od przełomu, który w Detroit stał się udziałem LeBrona. I Goldman, który już wtedy martwił się, że pewnego dnia zacznie ich krytykować, przewidywał: „Czas Birda i Magica dobiega końca. Dziś łatwo jest nam być ich fanami. Ale poczekajcie. Zobaczymy, co będzie za dziesięć lat”. Potem napisał cały zmyślony akapit, w którym opisywał kibiców w 2000 roku, jak narzekają, że Magic był marnym obrońcą, a Bird był wolny. Zakończył takim zmyślonym cytatem: „Bird był oczywiście niezły, Magic też – ale w dzisiejszych czasach obaj by sobie nie poradzili”. Może do tego jeszcze nie doszliśmy, bo styl gry obydwu był wyjątkowy, a ich kariery przebiegały niezwykle podobnie i przyczyniły się do

powstania mitu o tym, jak „Bird i Magic uratowali NBA” (jeszcze do tego dojdziemy). Ale Jordan? Przecież to już się dzieje. Nie tak dawno temu, bo w 1998 roku, wszyscy zgadzali się z tym, że nigdy nie zobaczymy lepszego koszykarza od Jordana. Ale nie przeszkodziło nam to w tym, żeby go zaraz potem próbować zastąpić Grantem Hillem (nie udało się), Kobem Bryantem (nie udało się), LeBronem Jamesem (wciąż próbujemy), a potem znowu Kobem (czasami się udawało). To, jak wszyscy byli gotowi zastąpić Jordana LeBronem w 2007 roku, mogło naprawdę wprawić w zakłopotanie. Owszem, mecz LeBrona określany jako „48 Special” był fenomenalnym wyczynem sportowym, ale jak można to porównywać ze spotkaniem w Filadelfii, w którym Magic wystąpił na pozycji centra, zastępując kontuzjowanego Kareema, grał na pięciu pozycjach, zaliczył 42 punkty, 15 zbiórek i 7 asyst i poprowadził Lakers do mistrzostwa NBA. Gdyby coś takiego wydarzyło się dzisiaj, to szczątki Skipa Baylessa byłyby rozrzucone po całym Bristolu\*.

Co więc sprawia, że wciąż mamy tendencję do faworyzowania terażniejszości kosztem przeszłości? Goldman uważa, że każda epoka jest „arogancka i lekceważąca” i znów ma rację, choć przecież wcale nie jest tak, że celowo jesteśmy lekceważącymi arogantami. Dobrze jest nam wierzyć w to, że współczesne gwiazdy są lepsze od tych, które kiedyś oglądaliśmy. Dlaczego? Bo najfajniejsze w sporcie są niewiadome. Zastanawianie się nad tym, co może się zdarzyć, jest dużo ciekawsze od tego, co już się stało. Wiemy, że nie zobaczymy już nowego Birda czy Magica, przestaliśmy już nawet ich wypatrywać. Byli zbyt wyjątkowi. Ale Jordan... to już potrafimy sobie wyobrazić. Bo może zobaczymy jeszcze za naszego życia jakiegoś hiperambitnego, niewyobrażalnie utalentowanego rzucającego obrońcę. Kto wie? Nie chodzi więc o to, czy LeBron będzie tak dobry jak MJ. Chcielibyśmy, żeby był lepszy niż MJ. MJ-a już widzieliśmy. A kto chciałby wypożyczać dwa razy ten sam film? Chcielibyśmy, żeby LeBron zabrał nas w miejsca, których jeszcze nie zwiedzieliśmy. Z tego samego powodu przekonywaliśmy samych siebie, że Shaq był lepszy od Wilta Chamberlaina, a Steve Nash od Boba Cousy’ego. Nie wiedzieliśmy tego na pewno. Ale bardzo chcieliśmy, żeby tak było.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie potrafimy doceniać przeszłości. Tamta transmisja z Havlickiem pokazała mi, jak łatwo jest o wszystkim zapomnieć, jeśli się o tym wystarczająco długo nie myśli. Nie pomaga nawet to, że mamy to coś

---

\* Przypis dla wszystkich, którzy czytają to w 2075 roku: Bayless to dziennikarz sportowy, który zawsze zajmował kontrowersyjne stanowisko w dyskusjach, do czasu kiedy w 2010 roku został latem zwolniony z telewizji po tym, jak zareagował na decyzję LeBrona, by porzucić Cleveland i podpisać kontrakt z Heat. Toczący pianę z ust Bayless zamienił się wtedy w ziejącego ogniem, dwuipółmetrowego smoka i zabił wszystkie 17 osób znajdujących się w studiu. Możecie to znaleźć na YouTube, wpiszcie w wyszukiwarce „Bayless+smok”.

silnie zakorzenione w głowie, tak jak to miało miejsce w moim przypadku – „Kiedy byłem mały, w mojej ukochanej drużynie koszykarskiej grał jeden z 20 najlepszych koszykarzy wszech czasów i przez całe dzieciństwo mogłem oglądać go w akcji”. Kiedyś owacja kibiców w hali Boston Garden na cześć Hondo trwała 510 sekund. Widziałem to. Byłem w tym budynku. Biłem brawo przez każdą z tych 510 sekund i było to jedyne pozytywne wspomnienie z całego nędznego sezonu. Ale w takim hałasie kryje się jedna śmieszna rzecz: wiadomo, że prędzej czy później dobiegnie końca.

I o tym właśnie jest ta książka – to próba uchwycenia tego hałasu, przedarcia się przez to, co nieistotne, i rozgryzienia, o których zawodnikach i o których drużynach warto pamiętać. To też książka o NBA – jak dotarła tu, gdzie jest dziś, i dokąd zmierza. Pewnie to zbyt ambitne przedsięwzięcie i powinienem był ograniczyć się do ogólnego szkicu, ale chrzanić to – na końcu książki okaże się, że to wszystko miało sens. Przysięgam. Robię się coraz starszy i wkurza mnie, że wspomnienia sportowe coraz częściej mi uciekają... zwłaszcza gdy chodzi o koszykówkę, czyli tę dyscyplinę, której nie da się wytłumaczyć samymi statystykami. Chciałem spisać swoje wspomnienia, myśli i opinie, zanim o nich pozapominam. Albo zanim zabije mnie koszulka wystrzelona z armaty podczas meczu Clippersów. Zobaczmy, co nastąpi wcześniej.

Weźmy na przykład takiego Birda. Można powiedzieć po prostu, że numer 33 był bardzo wysokim gościem o świetnej koordynacji, który wyjątkowo dobrze wykonywał swoją pracę. I tyle. Nie można nazwać go superbohaterem, bo przecież nie ratował nikomu życia i nie zbawiał świata. Ale przecież jednocześnie musiał posiadać nadludzkie umiejętności, skoro cała Nowa Anglia uwierzyła w to, że nie da się go pokonać. Tyle razy ratował nam skórę. Z czasem zaczęliśmy od niego oczekiwać, żeby znów to robił, a gdy tak właśnie się stawało, na dobre się w nim zakochaliśmy. Wiem, że tak właśnie było, bo żyłem w jego najlepszych czasach i choć nie wiem, czy zyskałem już w waszych oczach wiarygodność jako znawca koszykówki\*, to mówię wam, że tak właśnie to wyglądało wiosną 1987 roku oczami fana Bostonu. Niestety w oficjalnych statystykach NBA nie można przy Birdzie znaleźć pozycji zatytułowanej: „Najwięcej sytuacji, w których kibice oczekiwali, że najlepszy zawodnik uratuje skórę ich drużynie, i on to rzeczywiście zrobił”. Opowiem wam więc historię o jego najbardziej pamiętnym rzucie, który miał dać zwycięstwo. O rzucie, który niestety nie wpadł.

---

\* To jest bardzo obiektywna książka, nie licząc ciągłych przytyków pod adresem Kareema i Vince'a. Nawet ktoś taki jak Kobe, którego ktoś inny mógłby nazwać przebiegłym kombinatorem, którego nie da się lubić, uganiającym się za spódniczkami i niedostosowanym społecznie, będzie w tej książce traktowany z najwyższym możliwym szacunkiem. Obiecuję.

Po zdobyciu trzech nagród MVP Legenda był wiosną 1987 roku w trakcie najlepszej serii w całej swojej karierze, w pojedynkę przez trzy rundy ciągnął na swoich barkach starzejącą się drużynę, pomimo że McHale miał złamaną nogę (choć dzielnie grał), Bill Walton i Scott Wedman byli kontuzjowani (i nie grali), a Parish i Ainge mieli skręcone kostki (grali z kontuzjami). No cóż, to nam daje pięciu z siedmiu najlepszych zawodników drużyny. Kiedy w piątym meczu Finałów Konferencji Wschodniej wydawało się, że jesteśmy skończeni, Bird uratował cały sezon, zaliczając przechwyt na Isiahu Thomasie, co wywołało w hali Garden największy hałas, jaki słyszałem kiedykolwiek w życiu. To jedyny raz, kiedy nawet balkon zaczął się trząść, bo ludzie podskakiwali w ekstazie. To jest właśnie wspaniałe w sporcie: kiedy masz nadzieję, że wydarzy się coś nieprawdopodobnego, w 4999 przypadkach na 5000 to się nie dzieje, ale w końcu następuje ten pięciotysięczny raz i, na Boga, to się dzieje! Tak właśnie było z przechwytem Birda. Dwa dni później wykończył Detroit serią karkołomnych rzutów, takich jak ten śmieszny rzut od tablicy z czterech i pół metra z lewej ręki – trzeba go było zobaczyć, żeby uwierzyć\*. Byliśmy wtedy przekonani, że Birda nie da się powstrzymać. Wciąż wynosił swoją grę w koszykówkę na jeszcze wyższy poziom, tylko jak wysoko mógł dojść? Na 30 sekund przed końcem czwartego meczu, który musieliśmy wygrać, przegrywaliśmy jednym punktem. Celtics próbowali rozegrać akcję na Birda, ale James Worthy przykrył go i przytrzymał za koszulkę\*\*. Piłka w jakiś dziwny sposób powróciła do Birda. Worthy nierozważnie zostawił go, żeby doskoczyć do Danny'ego Ainge'a, i Legenda znalazł się na chwilę niekryty w rogu.

(Odgłos 15 tysięcy ludzi wzdychających głośno).

DJ podał do Birda, który oddał rzut za trzy punkty, stojąc przed samą ławką Lakers.

(Odgłos 15 tysięcy ludzi, jęczących błagalnie: „Trzyyyyyy...”).

Szelest piłki wpadającej do siatki.

(Odgłos 15 tysięcy ludzi, wrzeszczących: „Jeeeeeeeeeeeeest!”).

Gdyby wtedy przerwano tamten mecz i ogłoszono, że Bird przejdzie przez rzekę Charles, to nie tylko byłbym pierwszym dzieciakiem, który by tam poszedł, ale jeszcze przyniósłbym swój aparat fotograficzny. Staliśmy tak, radowaliśmy się,

---

\* Nie widziałem go, bo dzień wcześniej odbył się mój bal maturalny w Connecticut. Moje miejsce zajął wujek Bob i stacja CBS pokazywała go tego dnia wielokrotnie na ekranie. Oczywiście na balu maturalnym było beznadziejnie. Tego, że nie wstałem tego niedzielnego poranka i nie pokonałem dwuipółgodzinnej drogi, żałowałem około 280 975 razy.

\*\* Co wtedy robili sędziowie? No właśnie! Ostatnio znowu oglądałem ten mecz i wrzeszczałem na sędziów po kolejnej z 20 fatalnych decyzji. W końcu moja zmieszana żona (która słuchała tego z kuchni) zapytała: „A to czasem nie jest tak, że ty już wiesz, jak się dalej potoczy ten mecz?”. Pewnie, że tak, ale co z tego?

wrzeszczeliśmy i tupaliśmy przez całą przerwę na żądanie, nawet do głowy nam nie przyszło, że po tym, czego właśnie byliśmy świadkami, możemy jeszcze przegrać ten mecz. Lakers rozegrali swoją typową akcję „podajemy do Kareema, sędziowie dadzą się nabrać”. Stał na linii rzutów wolnych. Pierwszy rzut trafił, a drugi spudłował, co zaowocowało skandalicznym przekrętem, kiedy sędzia Earl Strom nie odgwizdał ewidentnego faulu Mychala Thompsona, który wpadł na McHale’a i Parisha i doprowadził do tego, że piłka, którą próbowali zebrać, wypadła na aut. Piłka dla Lakers. To z kolei sprawiło, że Magic miał szansę na swój legendarny rzut hakiem, który przecież zostałby przez McHale’a zablokowany, gdyby ten nie grał z tą pieprzoną złamaną nogą. (Przepraszam, wciąż jestem zły. Naprawdę bardzo zły). Do końca meczu pozostały już tylko dwie sekundy, Lakers podskakiwali w górę z radości... ale przecież mieliśmy swojego gracza z numerem 33. Wszyscy zgromadzeni w hali wiedzieli, że piłka powędruje do Larry’ego. I wszyscy wiedzieli, że wciąż jeszcze jesteśmy w grze.

I co się dzieje? Dwóch gości kryje Birda. Ale on w jakiś niewiarygodny sposób urywa się obrońcom na środku boiska (serio, nadal nie wiem, jak mu się to udało), rusza wzdłuż linii bocznej, łapie piłkę, ustawia się do rzutu za trzy tuż przed Rileyem, po czym niepilnowany, stojąc przed ławką Lakers, oddaje rzut za trzy. Stałem wtedy na swoim miejscu i pewnie sikałem w gacie. W tamtym momencie założyłbym się o wszystko, że piłka wpadnie do kosza. Postawiłbym na to swoją kolekcję kart baseballowych. Postawiłbym swoją konsolę Intellivision, a nawet swoje dziewictwo\*. Postawiłbym całe swoje życie. Nawet Lakersi byli chyba pewni, że piłka wpadnie do kosza. Obejrzyjcie sobie powtórkę tej akcji, to zobaczycie, jak rezerwowi Lakers Wes Matthews kuca i zaczyna wrzeszczeć przerażony, jakby był świadkiem czyjegoś morderstwa w horrorze. Usłyszycie kibiców, jak wydają z siebie przedziwne, piskliwy odgłos, który można przetłumaczyć tak: „O kurde, zaraz będziemy świadkami najwspanialszego rzutu w historii koszykówki”. Rany, możecie sobie nawet zatrzymać akcję na klatce tuż przed tym, zanim piłka uderzy w obręcz. Naprawdę wygląda, jakby miała wpaść. I powinna była wpaść.

Ale nie wpadła.

Kiedy Bird oddał ten rzut, jego ciało poruszało się bezpośrednio pomiędzy mną i koszem – można by wytyczyć linię zgodną z trajektorią rzutu i przedłużyć ją od głowy Birda prosto do mnie. Dwadzieścia lat później wciąż widzę tę linię; najpierw wydawało się, że jest nakreślona idealnie, po czym – kiedy piłka uderzyła w tył obręczy – poczułem się jak znokautowany przez Mike’a Tysona. Bird spudłował

---

\* Na balu mi się nie poszczęściło.

minimalnie, może o długość paznokcia. Może nawet mniej. Nie da się w koszykowie chybić rzutu jeszcze bardziej nieznacznie\*.

Wiecie, co pamiętam najlepiej? Wcałe nie odgłosy z hali Garden (najpierw westchnienie nadziei i oczekiwania, potem straszliwy jęk rozpacz i wreszcie najbardziej przeraźliwa cisza, jaką można sobie wyobrazić)\*\* ani nie radujących się Lakersów, podskakujących po parkiecie, jakby wygrali w totka (wiedzieli, jakie mają szczęście), ani nawet nie zszokowane twarze kibiców znajdujących się obok mnie (wszyscy stali na swoich miejscach, z otwartymi ustami, spoglądając z niedowierzaniem w kierunku kosza). Nie. Najlepiej pamiętam Larry'ego. Kiedy piłka odbiła się od obręczy i wypadła z kosza, zamarł na chwilę i gapił się z niedowierzaniem w stronę obręczy, nie zwracając uwagi na świętujących za nim Lakersów. Dokładnie tak samo jak my – nie wierzył w to, co się właśnie stało.

Przecież ta piłka miała wpaść.

Po chwili Bird dołączył do grupy kolegów i trenerów opuszczających parkiet. Kiedy szedł przez tunel, mijając mnie i mojego ojca, wydawał się tak samo zdezorientowany jak wszyscy\*\*\*. Zszokowani kibice pozostawali na swoich miejscach, przygotowując się powoli do wyjścia, nie mogąc pogodzić się z tym, że Celtics właśnie przegrali. Jeśli byliście w kinie na *Szeregowcu Ryanie*, to być może pamiętacie, jak wszyscy widzowie siedzieli niczym sparaliżowani, nie mogąc się ruszyć z miejsc, kiedy pojawiły się napisy końcowe. Tak właśnie było wtedy w hali Garden. W ciągu dwóch minut wszyscy przeszliśmy przez siedem faz żałoby. Mój ojciec również. Osunął się na swoje krzeselko, jakby właśnie ktoś go zastrzelił. Wydawało się, że nigdy już nie wstanie. Nie zareagował nawet, kiedy powiedziałem do niego: „Hej, tatusiu, wychodzimy”.

Minęło jeszcze kilka sekund. W końcu na mnie spojrział.

„Przecież to powinno było wpaść – jęczał. – Jak to możliwe, że nie wpadło?”

Od tamtego wieczora minęły ponad 22 lata... a ja wciąż nie wiem, jak mam mu odpowiedzieć na to pytanie. Na wszystko inne mam odpowiedź. Tak mi się przynajmniej wydaje.

---

\* W jednym z zylionów dokumentów poświęconych NBA Worthy przyznaje, że wciąż miewa koszmary, że Bird wtedy trafił. A przecież Worthy wygrał tamtą serię.

\*\* Postawiłbym na ten rzut w konkursie na taką chwilę w historii NBA, w której tłum wydaje z siebie w ciągu dwóch sekund dwa najgłośniejsze z możliwych dźwięki, oznaczające dwie przeciwne rzeczy: jeeeeeeeeeeeeest-nieeeeeeeee. Nigdy w historii nie było głośniejszego jeeeeeeeeest-nieeeeeeeee.

\*\*\* Widać mnie wtedy, chwilę przed tym, jak James Brown rozpoczyna wywiad z Magikiem – jestem ubrany w niebieską koszulkę polo i wyglądam trochę jak Kirk Cameron w drugiej serii serialu *Dzieciaki, kłopoty i my*. Poza tym mam taką minę, jakby lekarz powiedział mi właśnie, że cierpię na chorobę weneryczną.





## ROZDZIAŁ 1

# SEKRET

Wielką tajemnicę koszykówki poznałem, wylegując się na basenie topless w Las Vegas. Kiedy mi ją zdradzano, z odległości dwóch i pół metra przyglądała mi się akurat para nagich piersi. Osobą, która zdradzała mi tę tajemnicę, był członek Hall of Fame NBA\*, który kiedyś obiecał, że skopie mi tyłek, a zmienił zdanie tylko dlatego, że zaręczył za mnie Gus Johnson.

(Czy opowiem wam tę historię? Tak. Opowiem).

Wróćmy do lipca 2007 roku. Mój kumpel Hopper nalegał, żebym towarzyszył mu w spontanicznej wyprawie do Vegas. Wiedział, że mu nie odmówię, bo mam taki sam problem z hazardem jak Tim Donaghy\*\*. Potrzebowałem pozwolenia na wyjazd od ciężarnej żony, która była na mnie wściekła – po pierwsze dlatego, że będąc w ciąży, musiała się zmagać z kalifornijskimi upałami, po drugie dlatego, że wpadliśmy, bo w lutym namówiłem ją do wycofania bramkarza\*\*\*. Ale jestem przecież geniuszem zła: skoro w tym samym czasie w Vegas grała liga letnia NBA, to udało mi się jakimś cudem przekonać ją, że wydawca „ESPN Magazine” chce, bym

---

\* [Galeria lub Hall Sław – organizacja, do której przyjmowani są najwybitniejsi przedstawiciele tej dyscypliny. W związku z brakiem jednego konkretnego i oficjalnego tłumaczenia tego terminu postanowiłem w tej książce – podobnie jak w kilku innych przypadkach, np. przy okazji niektórych popularnych terminów koszykarskich jak alley-oop – posługiwać się terminem oryginalnym, tym bardziej że jest on w języku polskim w gwarze koszykarskiej powszechnie znany].

\*\* [Były koszykarski sędzia NBA, spędził w lidze 13 lat. Zawieszony w 2007 roku za to, że obstawiał mecze, które sędziował, a w 2008 roku skazany na 15 miesięcy więzienia].

\*\*\* Termin „wycofać bramkarza” oznacza rezygnację z wszelkiej antykoncepcji. Zanim dojdzie do takiej sytuacji, pary zazwyczaj o tym rozmawiają. Chyba że mamy do czynienia z Bridget Moynahan [amerykańska modelka, była dziewczyna futbolisty Toma Brady’ego, która rozstała się z nim w grudniu 2006 roku, po czym trzy miesiące później oświadczyła, że jest z nim w ciąży – przyp. red.]. W tym przypadku decyzję o rezygnacji z pigułek podjąłem ja sam, żeby przyspieszyć projekt „dziecko numer dwa”. Nie do końca poszło tak, jak planowałem. Zdaje się, że jeszcze nikt nigdy nie oberwał tak szybko lecącym w jego kierunku testem ciążowym.

napisał felieton poświęcony czterem meczom, w których mieli wystąpić m.in. moja ukochana drużyna (Celtics), mój ulubiony debiutant (Kevin Durant) i dwie drużyny z Los Angeles (Clippers i Lakers). „Załatwię to w 36 godzin” – powiedziałem.

Zgodziła się, a całą swoją złość przeniosła na mojego pracodawcę za to, że zmuszał mnie do pracy w weekend. (Mówiłem, że jestem spryciarzem). Szybko zadzwoniłem do swojego wydawcy, po czym miała miejsce następująca wymiana zdań:

JA: Nie mam w tym tygodniu żadnego sensownego pomysłu na felieton. Zaczynam panikować.

NEIL (mój wydawca): Kurde. Sam nie wiem, co ci poradzić. Nic się nie dzieje.

(Kilka sekund ciszy).

JA: Zaraz, zaraz... Czy w Vegas nie odbywa się teraz letnia liga?

NEIL: Tak, chyba tak. Ale dlaczego niby miałbyś o tym pisać?

JA: Czekaaj, sprawdzę, kto gra w piątek. (*Kolejne 20 sekund spędzam, udając, że wchodzę na NBA.com i sprawdzam terminarz gier*). O rany – o trzeciej Clippers, o piątej Celtics, o szóstej Lakers, a o siódmej Durant i Sonics! Muszę tam pojechać! Napiszę tekst na 1250 słów. (*Neil nie odpowiada*). No weź, Vegas? Celtics i Durant? Felieton sam się napisze!

NEIL (po długim westchnieniu): No dobra, dobra.

Czy przejmowałem się, że brzmiał tak, jakbym właśnie przekonał go, by oddał mi nerkę? Jasne, że nie. W piątek poleciałem do Vegas, odbębniłem te cztery mecze, po czym dołączyłem do Hoppera na popijawę i blackjacka do białego rana\*. Następnego ranka obudziliśmy się na czas, żeby zjeść słynne śniadanie w Vegas (półlitrowa kawa, bajgiel i duża szklanka wody), po czym udaliśmy się na dwór, do eleganckiej sekcji blackjacka znajdującej się nad basenem:

1. Osiem stolików do blackjacka, rozmieszczonych wokół barków, takich jak ten, w którym pracował po ucieczce na Jamajkę Brian Flanagan w filmie

---

\* To oczywiście kłamstwo – obaj zostaliśmy zmasakrowani przy stolikach w kasynie Wynn, gdzie minimalna stawka wynosi 50 dolców, i w łózkach byliśmy już o pierwszej w nocy. Ale chciałem, żeby to jakoś lepiej zabrzmiało.

*Koktajl.* Wystarczy, że raz będziesz uprawiał hazard na dworze, a twoje życie już nigdy nie będzie takie samo. To trochę tak jak przejechać się pierwszy raz w życiu kabrioletem.

2. Nad stolikami znajdowały się kurtyny wodne, które dmuchały chłodnym wodnym sprayem, żeby nikt się nie przegrzał, co było dość prawdopodobne, biorąc pod uwagę temperatury w Vegas sięgające często 45 stopni Celsjusza w cieniu i 75 stopni Celsjusza w kroczu każdego faceta.
3. Zaraz za stolikami był przepiękny europejski basen. W jakim sensie „europejski”? To taki wymyślny sposób, żeby móc powiedzieć, że można się w nim kąpać topless\*.

Trudno jest mi sobie wyobrazić lepsze miejsce do budowania męskich więzi. Kiedy miesiąc wcześniej byliśmy tam na corocznej męskiej wyprawie, to przybyliśmy tuż przed otwarciem tej części kompleksu (o jedenastej) i graliśmy aż do kolacji. Przez pierwsze trzy godziny żadna z pań nie zdecydowała się na strój topless, więc stwierdziliśmy, że kasyno Wynn powinno wynająć kilka striptizerek, które zrzuciłyby w południe staniki (żeby przełamały lody), i puszczać z głośników numery techno o tytułach w stylu *Ściągaj górę, No dalej, nikt nie patrzy, Tu sami swoi, Wypuść bestie* czy *Co masz do stracenia? Jesteś po rozwodzie*. Po południu, kiedy wszyscy byli już po kilku drinkach, panie zaczęły w końcu rzucać stanikami niczym talerzami do frisbee. No dobra, trochę przesadzam. Ale w ciągu kilku kolejnych godzin dwadzieścia kilka pań wskoczyło topless do basenu. Była wśród nich jedna reprezentantka wagi ciężkiej, której skok do wody omal nie doprowadził do zamieszek z powodu jej gigantycznego wyposażenia. Ludzie zaczęli uciekać we wszystkich kierunkach, próbując ratować życie\*\*.

I tak oto w ciągu ośmiu godzin przeżyliśmy dawkę dziesięciu tygodni zabawy i komedii z roznegliżowanymi dziewczynami i napalonymi, niemogącymi się skupić na swojej pracy krupierami w rolach głównych. Punkt kulminacyjny miał miejsce około szóstej po południu, kiedy do naszego stolika dosiadła się atrakcyjna blondynka ubrana w bikini i zaczęła narzekać do krupiera: „Od trzech dni nie mam szczęścia, ani razu nie miałam oczka”. Po czym powiedziała nam stanowczo: „Jak

---

\* Kiedy mamy do czynienia z przymiotnikiem „europejski”, od razu wiadomo, że jest nieźle. To słowo zawsze kojarzy się z nagością albo z rozpustą. Nawet w przemyśle porno (który przecież kręci się właśnie wokół tych dwóch rzeczy) wystarczy dorzucić w tytule słowo „europejski” i film staje się z miejsca dziesięć razy atrakcyjniejszy. Nie żebym oglądał pornosy.

\*\* Problem z europejskimi basenami polega na tym, że większość wyluzowanych kobiet, które decydują się tam na „strój” topless, to osoby, których nikt nie chciałby w takim wydaniu oglądać. Tak jak ta babka, która wyglądała trochę jak jeden z gości z wrestlingowego duetu The Wild Samoans, tyle że z ogromnym biustem. Jej piersi pozostaną w mojej pamięci na zawsze, choć wcale mi na tym nie zależy.

dostanę oczko, zdejmuję stanik”. Menedżer to usłyszał i powiedział, że nie będzie mogła pokazać się topless. Chwilę ponegociowali i w końcu stanęło na tym, że będzie mogła na chwilę pokazać wszystkim piersi. Tak jest, ta rozmowa naprawdę miała miejsce. Nagle staliśmy się częścią najbardziej ekscytującej rozgrywki w historii blackjacka. Za każdym razem, kiedy nasza sąsiadka dobierała w pierwszym rozdaniu dziesiątkę albo asa, napięcie sięgało zenitu, niczym w ostatnich pięciu minutach ostatniego odcinka *Rodziny Soprano*. Kiedy w końcu zaliczyła blackjacka, nasz sektor eksplodował z radości, niczym stadion Fenway\* po sławnym zaliczeniu bazy przez Roberta\*\*. Dotrzymała obietnicy, kilka minut później wyszła, a my przez resztę nocy zastanawialiśmy się, jak uda mi się napisać felieton dla „ESPN Magazine” tak, żeby opisać te wszystkie zdarzenia, ale nie wyjść na świnię. I wiecie co? Właśnie takie rzeczy zdarzają się w Vegas. Nie próbuję nikogo usprawiedliwiać, bronić ani osądzać. Nie pomyślcie sobie, że jeździmy tam ciągle, bo jakaś lafirynda może pokazać nam cycki przy stoliku do blackjacka. Jeździmy dla tych 20 minut następujących po całym zdarzeniu, gdy możemy rzucać wszystkimi możliwymi dowcipami dotyczącymi tej sytuacji\*\*\*.

Nie muszę dodawać, że również podczas ligi letniej zasiedliśmy z Hopperem w tym samym miejscu i nie sposób nas było stamtąd wyciągnąć. Spędziliśmy tam już kilka godzin, kiedy pojawił się mój stary znajomy, który odpowiadał w New York Knicks za kontakt z mediami, a razem z nim Gus Johnson, wspaniały komentator spotkań NCAA i meczów Knicks, który mnie uwielbia – głównie dlatego, że ja uwielbiam jego. Padliśmy sobie z Gusem w ramiona, odstawiliśmy całą ceremonię powitalną i już miałem poprosić go, żeby w swoim stylu skomentował moje karty w kilku kolejnych rozdaniach („Gracz podwaja stawkę... Tak jeeeeest, ma dziesiątkę!”), kiedy zaproponował, żebym poszedł za nim, by poznać jego kumpla, Isiaha Thomasa.

Ups.

Ze wszystkich słynnych sportowców, których mogłem spotkać kiedykolwiek w życiu, poznanie tego lata Isiaha Thomasa znalazłoby się na pierwszym miejscu listy pod tytułem: O Kurwa, Ale Będzie Przypał. Notorycznie nabijałem się z niego

---

\* [Autorowi chodzi o słynną akcję z play-offów w 2004 roku. Boston Red Sox przegrali pierwsze trzy mecze z New York Yankees, a w czwartym meczu u siebie byli o włos od odpadnięcia z play-offów, kiedy Dave Roberts przechwycił piłkę na drugiej bazie, zdobył punkty i odwrócił losy pojedynku. Red Sox wygrali ten czwarty mecz, potem trzy kolejne i wyeliminowali Yankees, a w wielkim finale World Series pokonali do zera St. Louis Cardinals, zdobywając pierwszy tytuł mistrzowski od 1918 roku].

\*\* To była taka piękna chwila, że musiałem ją uczcić dwiema następującymi po sobie w krótkim odstępie analogiami do kultury popularnej i historii sportu. To było coś wielkiego. Mówię o tych dwóch sytuacjach.

\*\*\* A także dlatego, że jakaś lafirynda może pokazać nam wszystkim cycki przy stoliku do blackjacka.

w swoich felietonach, a on kiedyś publicznie zagroził, że jeśli się kiedyś spotkamy, to będę miał kłopoty\*. Nagle okazało się, że chwila, którą można uznać za nasze spotkanie, może nastąpić lada moment. Kiedy razem ze znajomym od PR-u próbowaliśmy wytłumaczyć Gusowi, że spotkanie Simmons – Isiah jest najbardziej kreatywnym pomysłem z możliwych, Gus odpowiedział z przekonaniem: „Poczekajcie, wszystko ogarnę, załatwię to”. Poszedł sobie, a przerażony znajomy od PR-u powiedział: „No dobra, to ja spadam – powodzenia!”\*\*.

Zagrałem jeszcze kilka rundek blackjacka, zastanawiając się nad tym, jak się będę bronił, kiedy już Isiah się na mnie rzuci. Przecież od wielu lat masakrowałem tego gościa w swoich felietonach: za tanie chwytły z czasów, kiedy był jeszcze koszykarzem, jak ten, kiedy zarządził bojkot MJ-a podczas Meczu Gwiazd '85, albo ten, kiedy bez klasy opuścił parkiet po klęsce do zera z Bulls w sezonie '91, nie gratulując rywalom. Ale także za próbę zdyskredytowania umiejętności Birda po tym, jak poparł kretyńską wypowiedź Rodmana, który podczas play-offów '87 powiedział, że Larry „byłby uznawany tylko za jednego z wielu dobrych koszykarzy, gdyby nie to, że jest biały”. I za to, że potem próbował to zbagatelizować, tłumacząc się, że tylko żartował. (Nie żartował). Masakrowałem go za nieudany epizod w roli komentatora telewizyjnego, za to, że był do niczego jako menedżer Toronto, za to, że doprowadził do upadku ligę koszykarską CBA, ale przede wszystkim za fatalne osiągnięcia w roli menedżera Knicks. Podczas gdy konsekwentnie rzucałem w niego kolejnymi granatami, Isiah wystąpił w show radiowym Stephena A. Smitha i zagroził, że jeśli kiedy spotka mnie na ulicy, to będę miał „kłopoty”. Tak jakby to była moja wina. Isiah mógł sobie myśleć, że toczy przeciwko niemu jakąś prywatną wendetę, co nie miało nic wspólnego z prawdą. Wiele razy pisałem przecież, że był najlepszym klasycznym rozgrywającym, jakiego dane mi było oglądać w akcji i być może najbardziej niedocenianym koszykarzem swoich czasów. Bronilem nawet jego decyzji podczas draftów i chwaliłem za to, że stanął w obronie swoich zawodników przy okazji paskudnej burdy pomiędzy Nuggets i Knicks, w trakcie której popisał się zwłaszcza Carmelo Anthony. Nie miałem na jego punkcie żadnej obsesji. Był po prostu łatwym celem, niezbyt

---

\* Nasze spotkanie miało miejsce jakieś sześć tygodni przed procesem o molestowanie seksualne wytoczonym przez Anuchę Browne Sanders przeciwko Thomasowi i zarządowi Madison Square Garden, co ostatecznie zakończyło przygodę Isiaha w Knicks i doprowadziło do przykrego incydentu w październiku 2008 roku, kiedy przedawkował leki. Nie było do końca jasne, czy zrobił to celowo, czy nie. Bardzo widać, że wydawca polecił mi, by uważać z tym przypisem?

\*\* Widać było, że źle się to zapowiada, skoro facet od PR-u Knicks podjął decyzję: „Nawet nie próbuję zapobiec katastrofie PR-owej, tylko uciekam z miejsca zbrodni, niczym O.J. Simpson i A.C. [Al Cowlings, kumpel Simpsona, który towarzyszył mu w próbie ucieczki – twierdził, że został do tego zmuszony – przyp. red.] próbujący zbiec do Meksyku”. Nawet go nie winię.

dobrym generalnym menedżerem, który nie rozumiał zasad podatku od luksusu czy niuansów przepisów dotyczących pułapu wynagrodzeń i nie potrafił myśleć przyszłościowo. Nabijanie się z niego było zadaniem prostszym niż żarty z durnych celebrytów. Poziom trudności równy zeru.

Biorąc to wszystko pod uwagę, wołałem wtedy spokojnie grać w blackjacka i popijać drinki, niż przypochlebiać się wkurwionej legendzie NBA. W końcu ponury Gus skinął na mnie ręką, a ja uznałem, że trzeba to w końcu mieć za sobą. (Tak przy okazji – nie ma mowy, żeby używać słów „ponury” i „Gus Johnson” w jednym zdaniu. Kiedy to napisałem, poczułem się, jakbym zawiódł całą Amerykę). Objął mnie i powiedział coś w stylu: „Słuchaj, wszystko naprostowałem, wyjaśniłem mu, jest gotów z tobą pogadać, tylko pamiętaj, że to wrażliwy koleś, bierze wszystko do siebie”\*. Się wie. Ruszyłem w kierunku krzeseł znajdujących się w pobliżu basenu topless, gdzie siedział Isiah, popijając wodę, a na głowie miał kapelusz chroniący go przed palącym słońcem. Kiedy się zbliżyliśmy, Gus klepnął mnie w plecy, robiąc charakterystyczny gest w kierunku jakiejś znajomej, która czym prędzej się oddaliła, tak jakbyśmy byli szefami mafii mającymi właśnie zasiąść na tyłach włoskiej restauracji, z której trzeba uprzednio przegonić wszystkich kelnerów i chłopców na posyłki. *Spadajcie stąd. Nie chcecie być świadkami tego, co się zaraz wydarzy.* Uśmiechnięty szeroko Isiah podniósł się z krzesła (byłby świetnym politykiem) i powiedział: „Cześć, jestem Isiah”\*\*. Uścisnęliśmy sobie dłonie i usiedliśmy. Wytłumaczyłem, na jakiej zasadzie powstają moje felietony: że piszę z perspektywy kibica i wykorzystuję w swoim pisaniu różne sztuczki; że jestem kibicem klubów z Bostonu i nie cierpię wszystkich, którzy z nimi walczą; że udaję, że jestem mądrzejszy od wszystkich menedżerów; że uważam, że data Bożego Narodzenia powinna zostać zmieniona na datę urodzin Larry’ego Birda; i że to wszystko sprawia, że Isiah stał się naturalnym celem moich ataków. Powiedział, że to rozumie. Uznał, że obaj jesteśmy specjalistami od rozrywki. Obaj chcieliśmy sprawić, żeby koszykówka była dla kibiców fajniejsza. Powiedział, że nie podobają mu się dwie rzeczy, które napisałem: to, że zniszczył ligę CBA (twierdził, że to nieprawda), i to, że wrzuciłem go do jednego wora z innymi fatalnymi menedżerami w bardzo popularnym wśród czytelników prześmiewczym felietonie zatytułowanym „Konferencja

---

\* Po tym, co wtedy zobaczyłem, mogę się założyć, że Gus Johnson jest w stanie w ciągu 25 minut rozwiązać każdy konflikt, każdą kontrowersję czy spór terytorialny: wojnę gangów, konflikt Denise Richards i Heather Locklear, szytów i sunnitów, Owensa i McNabba, sytuację w Strefie Gazy czy awanturę z udziałem Michaela Vicka i PETA. Jest skrzyżowaniem Obamy, Jaya-Z i Cyrusa, lidera gangu z filmu *Wojownicy*.

\*\* To chyba najbardziej niedoceniany fragment tej historii. „Cześć, jestem Isiah”. Tak jakby ktoś mógł mieć jakieś wątpliwości.

Okropnych Menedżerów”\*. To sprawiło, że zaczęliśmy dyskutować o każdej jego decyzji kadrowej i ich przyczynach. Przyznał się do dwóch błędów – do transferu Jalena Rose’a (jego wina) i do transferu Steve’a Francis’a (nie jego wina, bo – jak twierdzi – na ten transfer należał trener Larry Brown). Wszystkich innych decyzji bronił. Ale najdziwniejsze było to, że każde z tych tłumaczeń miało sens. Wyjaśnił na przykład niedawny transfer Randolpha, mówiąc mi (parafrazując): „Každy próbuje uczynić swoją drużynę niższą i szybszą. Ja podchodzę do tego inaczej. Chcę mieć wyższą drużynę. Silniejszą”. Zorientowałem się w pewnym momencie, że cały czas kiwam głową jak jakiś klakier. Świetny pomysł, szefie! Bardzo dobry! Jesteś genialny! Dopiero potem, kiedy się rozstaliśmy i zacząłem się nad tym wszystkim głębiej zastanawiać, dotarło do mnie, jak bezsensowna była jego strategia. Nie chodziło o sam fakt stworzenia wyższej drużyny. Nie buduje się wyższej ekipy, bazując na dwóch popaprzanych grubasach, którzy nie potrafią bronić, nie potrafią zastać się pod koszem i są cholernie drodzy. Budujesz wyższą drużynę, opierając się na McHale’u i Parishu albo na Sampsonie i Olajuwonie, a nie na Eddym Currym i Zachu Randolphie\*\*.

Ale nie dlatego wam o tym opowiadam. Po tym, jak zawarliśmy rozejm, zaczęliśmy wspominać niezapomniane pojedynki Celtics – Pistons z lat 80. To, jak ewidentna była ich wzajemna nienawiść, jak takie zażarte rywalizacje zniknęły z czasem z NBA w związku ze zmianami przepisów, z kasą, wspólnymi obozami młodych graczy i ze wszystkim innym. Dziś przeciwnicy obściskują się ze sobą po meczach i wykonują wzajemne gesty spod znaku „kocham cię, chłopie”. Zachowują się jak kolesie ze studiów, którzy potem zostali jakimiś ważnymi prezesami, po czym po latach wpadają na siebie przypadkiem w najdroższej restauracji na świecie i zaczynają wykrzykiwać: *O rany, jak się cieszę, że cię widzę! Zgadajmy się, może jakiś lunch?* Kiedy Isiah grał z Celtics prowadzonymi przez Birda, to nie było mowy o przywitaniach typu „miło cię widzieć”. Jedni i drudzy chcieli się nawzajem

---

\* Zebrałem wszystkich nieudolnych menedżerów klubów w 2006 roku na fikcyjnej konferencji branżowej, gdzie dzielili się radami, jak wykonywać swoją pracę najgorzej, jak tylko się da. Isiah nie miał sobie równych.

\*\* Z perspektywy czasu najśmieszniej brzmi okropna argumentacja za podpisaniem kontraktu z Jerome’em Jamesem. Isiah twierdzi, że zatrudnił go jako pierwszego centra, po czym kilka tygodni później okazało się, że ma szansę zatrudnić Curry’ego, więc też to zrobił. Wkurzony James poczuł się zdradzony i nie był w stanie dawać z siebie wszystkiego, ale przecież Isiah dostał szansę na zatrudnienie podkoszowego ogiera w postaci Curry’ego. Gra była warta świeczki. Przysięgam, że kiedy o tym mówił, to brzmiało to sensownie. Tak mnie zakręcił, że nie odważyłem się powiedzieć czegoś sarkastycznego w stylu: „Ej, no jasne, zawsze kiedy masz szansę zatrudnić dwie supergwiazdy, takie jak Eddy Curry i Jerome James, za cenę jedynie 90 milionów i dwóch wysokich wyborów w drafcie, to musisz na to pójść”.

zniszczyć. To były ostre pojedynki. Dziś już takich nie ma. Brakuje mi tego, tak samo jak jemu. Obaj to uwielbialiśmy i to na tyle, że, ech, naprawdę dobrze nam się ze sobą rozmawiało\*.

Zaczynałem czuć się w jego towarzystwie komfortowo. Na tyle, że musiałem zadać mu pytanie o Sekret.

I tym właśnie przekonałem go do siebie – nie chodziło tylko o to, że zapytałem o Sekret, ale o to, że w ogóle o tym pamiętałem. Pistons zdobyli tytuł mistrzowski w sezonie '89 po tym, jak przez dwie wiosny z rzędu przegrywali – najpierw z Celtics w sezonie '87, a rok później z Lakers. Były to dwie najcięższe przegrane w historii play-offów NBA, biorąc pod uwagę naturę tych porażek. W rywalizacji z Bostonem mieliśmy do czynienia z dwoma chwilami z cyklu „dlaczego to musiało się stać” (słynny przechwyt Birda w meczu numer pięć, potem zderzenie Vinniego Johnsona z Adrianem Dantleyem w siódmym meczu). Rok później w Finałach taka chwila zdarzyła się znowu (w szóstym meczu Isiah skręcił kostkę). W sezonie '89 Pistons zwarli szyki, wygrali 62 mecze w sezonie zasadniczym, po czym w Finałach pokonali Lakers do zera, zdobywając swój pierwszy tytuł mistrzowski i potwierdzając sens kontrowersyjnego transferu przeprowadzonego w środku sezonu, kiedy oddali Dantleya i wybór w drafcie do Dallas w zamian za Marka Aguirre'a. O tamtych rozgrywkach można poczytać w świetnej książce Camerona Stautha zatytułowanej *The Franchise*, która szczegółowo opisuje, jak menedżer Jack McCloskey stworzył ówczesną ekipę Pistons. Najważniejszy rozdział jest poświęcony Finałom '89. Isiah rozmawia z dziennikarzami i nagle proponuje, że zdradzi im „sekret” wygrywania w koszykówkę. Poniżej znajdziecie skróconą wersję tego, co wtedy mówi na stronach 310 i 311. Najważniejsze fragmenty wytłuściłem.

Nie chodzi o umiejętności fizyczne. Chodzi o znacznie więcej. Kiedy dołączyłem do Pistons, McCloskey zebrał spore ciągi za to, że wybrał w drafcie niskiego zawodnika. Tyle że on doskonale wiedział, że jedynym sposobem na wprowadzenie naszej drużyny na szczyt są umiejętności mentalne, nie wzrost czy sam talent. Wiedział, że te umiejętności można nabyć jedynie dzięki obserwowaniu rywalizacji Celtics i Lakers, bo to te drużyny wygrywają ligę rok w rok. Przyglądałem się też drużynie Seattle, która raz wygrała ligę, i drużynie Houston, która raz dotarła do Finałów. Ale

---

\* To tylko jeszcze jeden dowód na to, że dogadam się z każdym na tej planecie, kto uwielbia koszykówkę. Moglibyście ubrać mnie na czerwono, wywieźć do niebezpiecznej dzielnicy rządzonej przez gang „niebieskich”, powiedzieć mi, że mam 12 minut na to, żeby rozpocząć jakąś poważną debatę poświęconą koszykówce, zanim ktoś mnie zastrzeli... I przeżyłbym.



obie rok później dokonały autodestrukcji. Jak to możliwe? Przeczytałem książkę Pata Riley'a *Show Time*, w której opowiada o „wirusie przesady”\*. W jednym roku drużyna wygrywa, po czym rok później każdy z zawodników chce spędzać na parkiecie więcej minut, więcej zarabiać i oddawać więcej rzutów. I to jest samobójstwo. Nasza drużyna dochodziła do poziomu mistrzowskiego przez cztery lata z rzędu. Bardzo łatwo mogliśmy doprowadzić do autodestrukcji. Przeczytałem więc to, co napisał Riley, i wyciągnąłem z tego wnioski. Nie chciałem, żeby przytrafiło nam się to samo, co miało miejsce w Seattle i Houston. Ale wcale nie jest łatwo nie być egoistą. Sztukę wygrywania komplikują statystyki, które przekładają się na pieniądze. Musisz z tym jakoś walczyć, starać się to przezwyciężyć. I nam się to chyba udawało. Jeśli zdobędziemy tytuł mistrzowski, to będziemy pierwszą drużyną w historii, która tego dokona, nie mając w składzie ani jednego zawodnika zdobywającego średnio ponad 20 punktów. Pierwszą drużyną w historii. Mamy w składzie 12 zawodników, którzy robią wszystko, żeby wygrywać. W każdym meczu zwycięstwo może nam zapewnić ktoś inny. Rozmawiałem o tym kiedyś z Larrym Birdem. Kilka lat temu, przy okazji Meczów Gwiazd. Siedzieliśmy razem, podpisywaliśmy piłki, a ja wypytywałem go o Reda Auerbacha i legendę drużyny Bostonu. Nie wiem, czy wyczuł, że ciągnę go za język. Chyba się domyślał, bo kiedy zadałem kolejne pytanie, to tylko na mnie spojrzał. Uśmiechnął się. Ale nie odpowiedział.

Ha!

Kilka stron później, kiedy Pistons są już o włos od pokonania Lakers, Isiah zaczyna narzekać na brak szacunku dla Detroit.

Spójrzcie na nasze statystyki. Jesteśmy jedną z najgorszych drużyn w lidze. Trzeba więc chyba znaleźć jakąś nową formułę do oceniania koszykówki. Bardzo często zdarzało się, że miałem wątpliwości co do naszego podejścia, bo wszyscy wmawiali mi, że nie ma mowy, żebyśmy w ten sposób wygrywali. Statystycznie wypadałem fatalnie. Ale ja wciąż spoglądałem

---

\* Wirus przesady jest jedną z trzech najważniejszych teorii ostatnich 35 lat, obok teorii punktu krytycznego i Teorii Ewinga. Żadna teoria sportowa nie jest potwierdzana tak często. Kompletna lista ofiar wirusa przesady wśród mistrzów NBA: Sixers '67, Bucks '71, Warriors '75, Blazers '77, Sonics '79, Lakers '80, Bulls '92, Lakers '00 i Pistons '04. Można do tego dodać jeszcze kilku finalistów: Warriors '67, Rockets '81 i '86, Suns '93, Magic '95, Sonics '96, Knicks '99 czy Nets '03.

na kolumnę zwycięstw i porażek, patrzyłem, jak coraz wyżej awansujemy w tabeli, i powtarzałem sobie: Isiah, nie przejmuj się, robisz to, co należy, bądź wytrwały, a któregoś dnia ludzie nauczą się oceniać koszykarzy, biorąc pod uwagę inne rzeczy. Przeszaną tylko sięgać po gazetę, mówiąc: aha, ten zawodnik trafił dziś dziewięć z 12 rzutów, zebrał osiem piątek, czyli to on był dziś najlepszym zawodnikiem. Bardzo często trudno w naszej drużynie wskazać, kto był najlepszym graczem meczu. Bo przecież każdy wniósł coś pożytecznego. I to dzięki temu jesteśmy tacy dobrzy. Przeciwnicy muszą się martwić tym, jak zatrzymać ośmiu czy dziewięciu rywali, a nie tylko dwóch czy trzech. Tylko w ten sposób możesz wygrać. Tak to właśnie wymyślono w koszykówce. Ale jest jeszcze coś więcej. Musisz też stworzyć środowisko, które nie będzie akceptowało porażek.

Zapomnijcie na chwilę o tym, że w dwóch powyższych akapitach złożonych z cytatów Isiah opisał wszystko to, co powinno się wiedzieć o zdobywaniu tytułu mistrza NBA. Zawsze chciałem wiedzieć, na czym polega Sekret. I pewnie zauważyliście, że on tego, kurwa, wcale nie zdradził. Co gorsza, nikt go o to już potem nie zapytał\*. Od czasu studiów nie dawało mi to spokoju. A teraz siedzieliśmy sobie nad basenem topless w Vegas, on zachowywał się tak, jakby dobrze się czuł w moim towarzystwie, więc czemu nie. Lepszej okazji nie będzie. Zadałem mu więc pytanie.

Uśmiechnął się. Dało się wyczuć, że był pod wrażeniem. Chwilę milczał. Widać było, że napawa się tą chwilą.

„Sekret koszykówki – mówi w końcu – polega na tym, że wcale nie chodzi w nim o koszykówkę”.

*Sekret koszykówki polega na tym, że wcale nie chodzi w nim o koszykówkę.*

Przecież to nie ma sensu, prawda? Jakim cudem miałyby to mieć sens?

Przez kilka następnych minut Isiah próbował mi to wytłumaczyć. Po tym, jak był tak blisko zwycięstwa przez dwa lata z rzędu, rozumiał, że problemy z chemią, które pojawiły się w sezonie '89, nie miały nic wspólnego z umiejętnościami zawodników. Chuck Daly musiał dawać Dennisowi Rodmanowi więcej minut, a Nacuzyciel (pseudonim Dantleya, dosyć zabawny w tym kontekście) nie miał ochoty dzielić się swoim czasem gry. I to był najważniejszy problem. Rodman był w stanie podporządkować się każdemu stylowi gry i potrafił bronić przeciwko każdemu

---

\* To akurat nawet nie było zaskakujące. Brak sensu w pytaniach zadawanych zawodnikom przez dziennikarzy sportowych był dla mnie zawsze przerażający. Żaden z tych gamoni nie zadał mu nigdy pytania o Sekret, ale jestem przekonany, że na 40 różnych sposobów zadawali pytania typu: „Isiah, co czułeś po zdobyciu tytułu?”. Po czym wracali do strefy prasowej i zjadali się chipsami.

typowi zawodnika, zapewniał drużynie Pistons wyjątkową elastyczność – trochę jak Havlicek, który grając i na pozycji obrońcy, i skrzydłowego, podobnie oddziaływał na Celtics pod koniec kariery Billa Russella. Poza tym już rok wcześniej mieliśmy do czynienia z podobnym precedensem w kontekście Johna Salleya i Joego Dumarsa. Isiah i Vinnie Johnson podzielili się swoimi minutami z Dumarsem, a Rick Mahorn z Salleyem. Ale kiedy Rodman zaczął odbierać minuty w końcówkach meczów Dantleyowi, to Nauczyciel zaczął narzekać i nawet poskarżył się jednemu z dziennikarzy. Nazwanie tego zdradą byłoby pewnie przesadą, ale Dantley podważył altruistyczną dynamikę drużyny, którą tak starannie budowano przez cztery poprzednie lata. Pistons nie mogli sobie pozwolić na takie ryzyko. Dlatego szybko wymienili go na stanowiącego pewną zagadkę Aguirre'a, niekonwencjonalnego specjalistę od zdobywania punktów spod kosza, który sprawiał podobne problemy rywalom, ale nie zaburzał chemii w drużynie. Isiah kumplował się z nim od dziecka (razem dorastali w Chicago) i potrafił go kontrolować. Być może Dantley był lepszym koszykarzem od Aguirre'a, ale w 1989 roku Aguirre po prostu lepiej do Pistons pasował. To była wymiana ludzi, nie koszykarzy\*.

I tego właśnie nauczył się Isiah, przypatrując się drużynom Lakers i Celtics: *wcale nie chodzi o koszykówkę.*

Tamte ekipy były pełne utalentowanych graczy, ale wcale nie było to głównym powodem ich zwycięstw. Wygrywali, bo się nawzajem lubili, bo rozumieli swoje role w drużynie, bo ignorowali statystyki, bo zwycięstwo było dla nich ważniejsze niż cokolwiek innego. Wygrywali, bo ich najlepsi zawodnicy byli w stanie się poświęcić, żeby wszyscy inni byli szczęśliwi. Wygrywali, bo cały czas pamiętali, że grają o tę samą stawkę. I z tych samych powodów przegrywali, jeśli jedna z tych trzech rzeczy przestawała działać. Warriors z sezonu '75 później zupełnie się posypali przez ego Ricka Barry'ego i przez to, że ich dwie młode gwiazdy (Wilkes i Gus Williams) grały o lepsze statystyki, żeby poprawić swoją wartość rynkową. Blazers, mistrzowie z sezonu '77, posypali się nie tylko przez problemy Billa Waltona ze stopami, ale także dlatego, że Lionel Hollins i Maurice Lucas zaczęli się zastanawiać nad tym, dlaczego tak mało zarabiają. Sonics, mistrzowie rozgrywek '79, rozlecieli się po tym, jak ich dwaj świetni obrońcy (Dennis Johnson i Gus Williams) zaczęli się między sobą kłócić o kasę i o to, kto ma oddawać najważniejsze rzuty. Lakers '81 zaliczyli kryzys, bo koledzy Magica Johnsona uznali, że media poświęcają mu

---

\* W play-offach '88 Dantley spędzał na parkiecie średnio 33,9 minuty na mecz, a Rodman 20,6 minuty. W mistrzowskim sezonie '89 Aguirre grał średnio 27,1 minuty, a Rodman 24,1 minuty. Dantley i Rodman notowali średnio 26,5 punktu i 11,6 zbiórki, a Aguirre i Rodman rok później 18,4 punktu i 14,4 zbiórki. Pistons poświęcili osiem punktów na mecz na rzecz lepszej obrony, zbiórek i chemii w drużynie. Słusznie.

zbyt dużo uwagi – brylował w tym drugi rozgrywający, Norm Nixon, który nie miał zamiaru dzielić się obowiązkami playmakera. Celtics '83 przegrali w kolejnym sezonie do zera z Milwaukee z jednego powodu – mieli zbyt wielu dobrych zawodników i wszyscy chcieli grać. Lakers '86 przegrali w kolejnych rozgrywkach z Houston, bo Kareem nie był już samcem alfa, a Magic nie miał jeszcze na tyle pewności siebie, żeby go w tym zastąpić. Rockets po sezonie '87 rozpadli się przez dyskwalifikacje za stosowanie narkotyków i kłótnie o kontrakty. I tak prawie co roku – ktoś z głównych kandydatów do tytułu przegrywał z powodów, które nie miały zbyt wiele wspólnego z koszykówką. Ale tak samo prawie co roku ekipa mistrzowska zwyciężała, bo udawało jej się przetrwać i każdy znał swoją rolę w drużynie. Tak też było z Detroit i dlatego Dantley musiał odejść\*.

„Na tym właśnie polega sekret – powiedział Isiah. – Wcale nie chodzi o koszykówkę”.

*Sekret koszykówki polega na tym, że wcale nie chodzi o koszykówkę.*

I takich rzeczy możesz się dowiedzieć w Vegas.

\*

Kiedy rozmawiałem wtedy z Thomasem, jego miłość do tamtych Pistons rzucała się w oczy tak mocno, jak sutki jednej z dziewczyn sterczące dwa i pół metra dalej. To mnie nie zaskoczyło. Pamiętam jego występ w odcinku *NBA's Greatest Games\*\**, w którym wraz z Danem Patrickiem z ESPN oglądał szósty mecz Finałów '88. Ówczesni Lakers nie byli w stanie poradzić sobie z rozgrywającymi potrafiącymi dzięki dryblingowi kreować pozycje rzutowe. Rok wcześniej Sleepy Floyd rzucił im 29 punktów w ciągu jednej kwarty\*\*\*. Jeśli mieli problemy z kimś takim jak Sleepy, to możecie sobie wyobrazić, jakie kłopoty sprawiał im Isiah Lord Thomas III, kiedy potrzebował już tylko jednego meczu, by sięgnąć po pierwszy tytuł mistrzowski w karierze. Czując krew w trzeciej kwarcie meczu rozgrywanego w hali Forum, zdobył 14 punktów z rzędu, trafiając praktycznie z każdej pozycji... aż nadepnął

---

\* Nauczyciel nigdy się nie pogodził z tym transferem. Kiedy w tym samym sezonie zagrał przeciwko Pistons, odszukał przed rozpoczęciem meczu Isiaha i powiedział coś, co bardzo go wkurzyło. To pewnie jakaś koszykarska wersja słynnego cytatu z *Ojca chrzestnego*: „Wiem, że to ty, Fredo”. Dantley nigdy nie zdobył tytułu mistrzowskiego. Ale, Nauczycielu, musisz to zrozumieć: nie chodziło o koszykówkę!

\*\* Program telewizyjny emitowany na ESPN2 w latach 90., którego uczestnicy wraz z Patrickiem oglądali słynne historyczne mecze. Byłem chyba jego jedynym widzem.

\*\*\* Kolejną słabością tamtych Lakers było to, że w trakcie sezonu '84 Kareem przestał zbierać. Poza tym w tych swoich goglach, z wygoloną głową i tyczkowatą posturą zaczął wyglądać jak jakiś odjechany kosmita. Wszystkie mecze Lakers z sezonów '88 i '89 powinny się zaczynać od ujęcia, w którym Kareem wysiada ze statku kosmicznego. Ale nie o tym miałem pisać.

na nogę Michaela Coopera i skręcił kostkę. Biedny Isiah próbował utrzymać pion, ale noga mu w tym nie pomagała i ciągle się przewracał. Wyglądał jak koń zaraz po złamaniu nogi, kiedy nie jest w stanie przestać się ruszać, ale nie potrafi też wstać. Każdy, kto grał kiedyś w koszykówkę, wie, co się czuje w momencie skręcenia kostki – to tak, jakby Leatherface potraktował dół twojej kończyny piłą mechaniczną. Nie da się wrócić do gry po ostrym skręceniu stawu skokowego. Zazwyczaj nie jest się nawet wtedy w stanie samemu zejść z parkietu. Isiah przez jakieś 90 sekund stał w miejscu, po czym został przez kolegów odprowadzony na ławkę. Nadzieje Detroit na tytuł ulatniały się w błyskawicznym tempie.

Tyle że Isiah nie zamierzał pozwolić na to, żeby kontuzja wyeliminowała go z gry. Zagryzł mocno wargi i przygotowywał się do gry. Kiedy Lakers zwiększyli prowadzenie do ośmiu punktów, powrócił na parkiet, kulejąc, napędzany adrenaliną. Próbował uratować szanse Pistons na tytuł, zanim kostka spuchnie na dobre. Trafił rzut oddany z jednej nogi. Potem zaliczył punkty rzutem o tablicę ponad faulującym go Cooperem i prawie przewrócił się na siedzących w pierwszym rzędzie kibiców. Następnie celna trójka i rzut kelnerski po kontrataku. W ostatnich sekundach kwarty trafił absolutnie niewiarygodny rzut z blisko siedmiu metrów z rogu boiska, bijąc rekord finałów – 25 punktów w jednej kwarcie – i wyprzedzając Pistons znowu na prowadzenie. To był legendarny występ, bez względu na wynik meczu. Stacja CBS przed przerwą reklamową pokazała w zwolnionym tempie powtórkę wspomnianego rzutu kelnerskiego – Isiah wpada na siedzących pod koszem fotoreporterów, po czym pędzi z powrotem pod własny kosz, a jego koledzy z drużyny szaleją ze szczęścia na ławce. 9,8 punktu na 10 w Skali Ciarkowej. Bez przerwy wysłuchujemy historii o niesamowitym epizodzie Willisa Reeda, który powrócił po kontuzji na siódmy mecz Finałów z Lakers, albo o tym, jak Gibson walczył z Eckersleyem w World Series '88, ale zapominamy o 25 punktach Isiaha Thomasa zdobytych w ciągu jednej kwarty, być może dlatego, że Pistons przegrali ten mecz i całą rywalizację\*. Trochę to niesprawiedliwe. Nie było większego wojownika niż Isiah Thomas. Z perspektywy czasu wiemy, że był to też jego największy problem: być może zależało mu trochę za bardzo. Jeśli to w ogóle

---

\* Ta porażka w szóstym meczu jest jedną z najsmutniejszych w historii. Mimo że Isiah ledwo był w stanie się ruszać, na minutę przed końcem Pistons prowadzili różnicą trzech punktów. Przerwa na żądanie, Byron Scott trafia z wyskoku, na 52 sekundy przed końcem jest 102:101 dla Pistons. Isiah gra akcję do końca, po czym pudłuje rzut z odchylenia, stojąc na jednej nodze. 27 sekund do końca, przerwa na żądanie Lakers. Sędziowie gwizdzą wątpliwy faul na Kareemie (zderzenie z Laimbeerem przy rzucie hakiem), który trafia dwa ważne wolne na 14 sekund przed końcem. Dumars fatalnie pudłuje w ostatniej sekundzie po czasie dla Pistons. Koniec. Gdyby Isiah był zdrowy, rozwaliliby rywali w tej ostatniej minucie szóstego meczu. Jestem tego pewien. Ale to jest koszykówka – musisz być dobry, ale musisz też mieć trochę szczęścia.

możliwe. Tak – to zdecydowanie możliwe. Bo kiedy ESPN zakończyło retransmisję tej trzeciej kwarty i powróciło do studia, Isaiah Thomas płakał. Nigdy wcześniej nie oglądał tego meczu i nie był sobie w stanie z tym poradzić.

To, co nastąpiło później, było niesamowite. Musicie wiedzieć, że oglądałam wszystkie te programy. Każdy odcinek *SportsCentury*, *Beyond the Glory* i wszystkie dokumenty HBO. Pochłaniam je. I pomijając tę chwilę, gdy Cooz\* rozkleił się w trakcie odcinka *SportsCentury* o Billu Russellu, nic nie może się równać ze sceną, która nastąpiła po tym, gdy Dan Patrick zadał Thomasowi proste pytanie o ten szósty mecz: „Dlaczego wciąż cię to gryzie?”.

Cisza. Isaiah nie był w stanie nic powiedzieć. Otarł oczy, próbując się uśmiechnąć. Wspomnienia go przytłoczyły – i te dobre, i te złe. Był przytłoczony tym, co zobaczył. W końcu zaczął tłumaczyć, jak to jest grać o mistrzostwo. Niezwykle dokładnie i zupełnie spontanicznie.

„Ja... ja... ja po prostu nigdy tego nie oglądałem – mamrocze, wycierając oczy chusteczką. – Nie... nie zrozumiecie tego”.

Patrick nic nie odpowiada. I słusznie.

Isiah robi pauzę, próbując jakoś się pozbierać, po czym kontynuuje: „Tego rodzaju emocje, takie uczucia, kiedy grasz o najwyższą stawkę i naprawdę... dajesz z siebie wszystko. Wkładasz w to całe swoje serce, całą duszę, wszystko i...”.

Głos znowu mu się załamuje. Kolejna pauza, by się pozbierać.

„Kiedy spoglądasz na to z perspektywy czasu, kiedy widzisz wszystko, przez co przechodziliśmy jako drużyna, kiedy przypominasz sobie tych ludzi, te przyjaźnie, to wszystko... po prostu tego nie zrozumiecie”.

Znowu się uśmiecha. Dziwna chwila. W każdej innej sytuacji wyglądałoby to tak, jakby zachowywał się protekcyjnie. Ale w tym jednym momencie ma rację: ktoś taki jak Patrick, jak ja, jak ty – nigdy tego nie zrozumie. A na pewno nie w pełni.

Ale Isaiah kontynuuje. Tak jakby chciał, żeby Patrick to zrozumiał.

„No wiesz, widzę Dennisa, pamiętam, jaki był Dennis, widzę Vinniego, Joego, Billa, Chucka, wiem, przez co wtedy przechodziliśmy, o co walczyliśmy... No wiesz, my nie byliśmy Lakersami, nie byliśmy Celtami, byliśmy po prostu nikim. Byliśmy Detroit Pistons, próbowaliśmy pokazać, że coś znaczymy w tej lidze, walczyliśmy o swoje miejsce, no wiesz, o to, żeby udowodnić, że też jesteśmy dobrą drużyną. Że nie jesteśmy tacy, jak się nas próbuje przedstawić”.

Patrick przerywa: „Nie graliście Show Time, nie byliście Celtami, byliście drużyną, której nikt nie doceniał”.

---

\* [Pseudonim Boba Cousy'ego].

„Tak – przytakuje Isiah. Teraz już wie, co chce powiedzieć. – Widzisz to wszystko, czujesz to, przechodzisz przez te wszystkie emocje, wiesz, o co toczy się gra. Chcesz odczuwać takie emocje. Kiedy 12 facetów zbiera się w walce o wspólny cel, to to jest...”

Próbuje znaleźć właściwe słowa. Nie jest w stanie. Aż w końcu powtarza: „Nie zrozumiecie tego”.

Ma rację. Nie rozumiemy. Okazało się, że nawet sam Isiah do końca tego nie rozumiał. W 2003 roku przejął New York Knicks i nie udało mu się wykorzystać tego wszystkiego, czego nauczył się w Pistons. Po pięciu latach stracił pracę\*. Ze wszystkich rzeczy, które nastąpiły podczas fatalnej ery Thomasa – brak zwycięstw w play-offach, proces o molestowanie seksualne, dwa stracone wybory w drafcie, cztery lata z rządu z sumą kontraktów ponad 90 milionów dolarów, protesty kibiców w jego ostatnim sezonie – najtrudniejsze do wytłumaczenia było to, że Thomas nie wyciągnął żadnych wniosków z tego, co działało w jego drużynach z Detroit. Jak to możliwe, że taki bystry zawodnik był takim fatalnym menedżerem? Jak to możliwe, że ktoś, kto dwa razy z rządu zdobył mistrzostwo dzięki chemii i grze zespołowej, w ogóle nie zwracał uwagi na te dwa elementy, próbując odbudować Knicks? Kiedyś Detroit nie było w stanie znaleźć typowego gracza podkoszowego, który byłby w stanie wspomóc Thomasa w ofensywie, więc Jack McCloskey sprytnie zatrudnił mu do pomocy niekonwencjonalnych graczy podkoszowych, skutecznych koszykarzy zadaniowych i zawodników, którzy byli w stanie zaliczać serie celnych rzutów. Kiedy McCloskey pojął, że nie będzie w stanie zdobywać więcej punktów od Celtics czy Lakers, zmienił strategię i zaczął budować najtwardszy, najbardziej atletyczny i możliwie najbardziej elastyczny skład. Podczas play-offów '87 Pistons mieli już dziewięciu solidnych graczy i dysponowali odpowiedzią na każdy scenariusz. Na papierze byli w latach 1983–1993 najszabszą z najlepszych drużyn. Ale o to właśnie chodzi w koszykówce: meczów nie wygrywa się na papierze. Pistons zdobyli dwa tytuły mistrzowskie i byli o włos od zgarnięcia dwóch kolejnych.

---

\* Po odpadnięciu w rywalizacji z Bostonem w sezonie '85 menedżer Jack McCloskey zrozumiał, że aby stawić czoła Celtics, potrzebuje z ówczesnego składu tylko trzech zawodników (Isiaha, Vinniego i Laimbeera), bo nikt inny nie zapewnia mu takiej mieszanki atletyzmu i twardej gry. Z numerem 17. draftu wybrał Joego Dumarsa, sprzedał Kelly'ego Tripuckę i Kenta Bensona za Dantleya, a Dana Roundfielda wymienił na Mahorna (twardego skrzydłowego, który miał za zadanie chronić Laimbeera). W drafcie '85 wybrał z jedenastką Salleya, a z numerem 32. Rodmana, mając nadzieję, że młodzi rezerwowi zamęcą Birda. Tego lata skradł też z Phoenix rezerwowego centra, Jamesa Edwardsa. Było to najbardziej kreatywne 12 miesięcy w wykonaniu generalnego menedżera w historii NBA. McCloskey stworzył wokół Thomasa przyszłych mistrzów NBA, nie mając do dyspozycji ani jednego wyboru w pierwszej dziesiątce draftu ani nie oddając w wymianach żadnego istotnego gracza.

Isiah przeżył to na własnej skórze. Widział, jak McCloskey buduje tę wyjątkową drużynę. Wiedział, że w koszykówce chodzi o coś więcej niż o statystyki i kasę. Wiedział, że nie da się wygrywać, jeśli zawodnicy nie poświęcą indywidualnych osiągnięć na rzecz drużyny. Dlaczego więc powierzył losy swojej ekipy Stephonowi Marbury’emu, jednemu z największych samolubów w lidze? Dlaczego oddał dwa potencjalne wybory w pierwszej połowie pierwszej rundy draftu za Curry’ego (nie-dojrzałego gracza, który w dodatku nie potrafił zbierać i blokować), po czym jeszcze pogorszył sprawę, przepłacając za niego? Dlaczego płacił tyle kolejnym graczom, jakby grał w lidze fantasy? Dlaczego uznał, że Randolph i Curry będą w stanie grać razem, podobnie jak Steve Francis i Marbury czy nawet Marbury i Jamal Crawford? Dlaczego przy wszystkich swoich decyzjach nie przejmował się kwestiami związanymi z pułapem wynagrodzeń? Przecież to wszystko jest bez sensu. Stał się przeciwnieństwem McCloskeya. Zawsze kiedy patrzyłem na Isiaha w jego ostatnim sezonie, siedzącego na ławce Knicks z zaciętą miną, jakby chciał wszystkim powiedzieć: „Nie zamierzam odejść. Nie zrezygnuję z tej kasy. Muszą mnie sami zwolnić”, przypominałem go sobie z tego spotkania w hotelu Wynn w Vegas, kiedy przekonywał mnie, że zestawienie Curry’ego i Randolpha ma sens. Jak to możliwe, że najpierw pojął Sekret koszykówki, a potem to wszystko tak koncertowo spieprzył?

Od tamtej pory miałem fioła na punkcie tego pytania. Rok w rok 90 procent decydentów z NBA ignoruje Sekret albo wmawia sobie, że nie jest on aż tak istotny. Kibice kompletnie zapominają o Sekrecie, o czym świadczy właśnie to, że nazywamy go Sekretem. (Dlatego właśnie żyjemy w świecie, w którym dziewięciu na dziesięciu kibiców koszykarskich uważa, że Shaquille O’Neal miał lepszą karierę od Tima Duncana). Nikt nie pisze o Sekrecie, bo pisanie o koszykówce nie jest dziś specjalnie wyrafinowane – nawet ostatnia „rewolucja” w świecie koszykarskich statystyk koncentruje się przede wszystkim na ocenianiu, jak poszczególni zawodnicy wypadają w konfrontacji między sobą, a nie jak wpływają na wyniki swojej drużyny. Kiedy w lutym 2009 roku Michael Lewis napisał dla „New York Times Magazine” duży tekst poświęcony niezaprzeczalnej wartości Shane’a Battiera, wymienił kilka anegdotek i posłużył się paroma sztuczkami, a także dostarczył przyzwoite dowody w postaci statystyk wyjaśniających wpływ Battiera na grę obronną i na postawę całej drużyny Rockets, ale wciąż nie było tam niczego namacalnego. (Choć Lewis pewnie przez przypadek wymienił dwa następstwa Sekretu: po pierwsze, nie wolno ci automatycznie ufać kolegom z drużyny, bo w samolubnym interesie każdego zawodnika jest pozbawienie partnera zbiórek i okazji do rzutów, a po drugie, koszykówka to taka dyscyplina sportu, w której to zjawisko jest wyjątkowo częste). Nie da się dokładnie określić wpływu Battiera poza tym, że możemy podać, ile



jego drużyna wygrała meczów, jak skuteczni byli zawodnicy drużyn przeciwnych, jaki był wynik meczu, kiedy przebywał na boisku w stosunku do okresu, kiedy siedział na ławce, a także posłużyć się różnymi statystykami, których dotychczas nie wymyślono\*, oraz tym, że gość zajmuje wysoką pozycję w nieoficjalnym rankingu Zawodników Zadaniowych, Których Każdy Koszykarz Chciałby Mieć w Swojej Drużynie. I to właśnie uwielbiam w koszykówce. Żeby wyrobić sobie opinię na temat baseballu, nie musisz oglądać żadnego meczu – mógłbyś znaleźć się gdzieś na bezludnej wyspie, jak Chuck Noland\*\*, wystarczy, że ocean wyrzuciłby na brzeg Skarb kibica, a ty dokładnie byś go przestudiował i już byś wiedział, który z zawodników jest coś wart. A w koszykówce? Statystyki pomagają, ale tylko do pewnego stopnia. Musisz też oglądać mecze. Widzisz wtedy, że Amar'e Stoudemire, który w Phoenix rzuca 22 do 25 punktów na mecz, zbiera tylko dwie piłki na kwartę, raz po raz pieprzy coś w defensywie, knoci każdą zmianę krycia w obronie, nie sprawia, że jego partnerzy z drużyny grają lepiej, nie kreuje im pozycji do rzutów i nie czuje odpowiedzialności za to, żeby ponieść drużynę na swoich barkach, choć ma w Phoenix gwiazdorską pensję. W sezonie '09 ekipa Nasha kompletnie się posypała, a Suns próbowali przehandlować Stoudemire'a z taką samą desperacją, z jaką Spencer i Heidi wciskali tabletkom swoje fałszywe ślubne zdjęcia\*\*\*. Czy Amar'e został wtedy wybrany do pierwszej piątki Konferencji Zachodniej w Meczach Gwiazd? Oczywiście, że tak.

Bo kibice tego po prostu nie kumają. Ale chodzi o coś znacznie poważniejszego – nie jestem w stanie stwierdzić, kto tak naprawdę to kuma. Wszyscy oceniamy zawodników, biorąc pod uwagę statystyki, ale nadchodzą play-offy i okazuje się, że wygrywają te drużyny, które grają koszykówkę zespołową, dają z siebie wszystko w defensywie, a ich gracze poświęcają osobiste osiągnięcia i olewają statystyki dla

---

\* Jedną taką stworzyliśmy specjalnie dla niego na stronie 396 [fragment poświęcony Wesowi Unseldowi] – konkrety. Kogoś takiego jak Battier nie da się sprowadzić do wartości statystycznych. Uznałem to za fascynujące, że w tygodniu, w którym ukazał się pochlebny artykuł Lewisa, (a) według „wskaźnika efektywności zawodników” Johna Hollingera z ESPN.com Battier był na 53. miejscu wśród niskich skrzydłowych i na 272. miejscu z 322 graczy w całej NBA i (b) Houston próbowało go sprzedać.

\*\* *Cast Away*. *Poza światem* znajduje się na szczycie mojej listy Filmów Najbardziej Nadających Się do Powtórnego Obejrzenia, obok *Legendy telewizji*, *U progu sławy* i *Infiltracji*. Powinni nakręcić *Cast Away 2*, zrobić z tego thriller, w którym Chuck Noland traci rozum i każe prostytutkom podczas stosunku nakładać na głowy piłki do siatkówki, w końcu zaczyna je mordować, ucieka przed policją i zamieszkuje na ulicy, wykorzystując do przeżycia umiejętności, które nabył w pierwszym filmie. Trochę jak kombinacja pierwszej części *Rambo* z *Milczeniem owiec*. Sami byście chętnie zapłacili za bilet do kina na taki film. Przyznajcie się.

\*\*\* Dla czytających po 2025 roku: Spencer i Heidi to para z telewizyjnego reality show, która zniknęła wkrótce po premierze tej książki, bo nawet szatan uznał, że już nie może ich znieść i wtrącił ich w najgłębsze czeluści piekieł.

dobra ekipy. Lakers byli w Finałach '08 faworytami w stosunku 3 do 1 do zwycięstwa z Bostonem, a mimo to przegrali. Kibice Lakers do dziś traktują tę porażkę, jakby była jakąś aberracją. Mamy problem z zaakceptowaniem tego, że praca zespołowa jest ważniejsza od talentu. San Antonio to drużyna, która odniosła najwięcej sukcesów w epoce po Jordanie, ale jakoś nikt nie rozumie dlaczego. Duncan był największą gwiazdą ery po Jordanie i też nikt nie rozumie dlaczego. Ale my przecież znamy odpowiedź na te pytania! Wiemy dlaczego! Przypomnijcie sobie, jak McCloskey zbudował tamte drużyny Pistons. Jak Gregg Popovich i R.C. Buford wykorzystali epokę Duncana. Jak Auerbach radził sobie w czasach Russella. Jak niektórzy kibice (w tym ja) ciągle wspominają Knicks z sezonu '70\* albo Blazers z '77. Oto co wiemy na pewno:

1. Drużynę potencjalnych mistrzów NBA buduje się wokół jednego świetnego koszykarza. Nie musi być żadną hipergwiazdą ani kimś, kto zdobywa tyle punktów, ile chce. Musi mieć cechy przywódcy, codziennie dawać z siebie wszystko, motywować kolegów z drużyny do nadludzkich wysiłków i wynosić ich na wyższy poziom. Lista najlepszych zawodników mistrzów NBA od czasów, kiedy do ligi dołączyli Bird i Magic, prezentuje się mniej więcej tak: Kareem (młodsza wersja), Bird, Moses, Magic, Isiah, Jordan, Hakeem, Duncan, Shaq (młodsza wersja), Billups, Wade, Garnett i Kobe. Ta lista wygląda dokładnie tak, jak byście się pewnie spodziewali, może z wyjątkiem Billupsa\*\*.
2. Otaczasz supergwiazdę jednym albo dwoma świetnymi pomocnikami, którzy znają swoje miejsce w szeregu i w hierarchii drużyny, nie mają obsesji na punkcie statystyk i są wszędzie tam, gdzie trzeba. Lista najlepszych pomocników w ekipach mistrzowskich od 1980 roku wygląda tak: Magic, Parish/McHale, Kareem (starsza wersja), Worthy, Doc/Toney, DJ, Dumars, Pippen/Grant, Drexler, Pippen/Rodman, Robinson, Kobe (młodsza wersja), Parker/

---

\* Mój redaktor (znany od teraz jako Stary Zręczliwy Redaktor) dodaje: „Oglądałem kiedyś w MSG program poświęcony Clyde'owi, który wspominał, jak bardzo był zły, że Willis Reed zdobył nagrodę MVP Finałów '70, bo Frazier uważał, że sam na nią zasługuje. Patrząc na statystyki, z pewnością tak właśnie było. Ale potem dodał, że to przemyślał i zrozumiał, że nigdy nie dokonałby tego, co zrobił w meczu numer siedem, gdyby Willis go do tego nie zainspirował. I znowu wszystko sprowadza się do Sekretu”.

\*\* Billups poprowadził Pistons w szalonych rozgrywkach '04, zaraz po zbyt drastycznej zmianie przepisów faworyzującej drużyny grające defensywnie i rzucające dużo za trzy punkty. Poza tym w tamtym sezonie kompletnie załamała się epoka Shaqa i Kobego, a połowa drużyny zaangażowała się w absurdalny teatrzyk pod tytułem „Nie będę już z tym skurwielem gadał”, a mimo to niewiele brakowało, a zdobyliby tytuł – gdyby tylko Karl Malone nie doznał kontuzji.

Ginóbili, Shaq (starsza wersja, Pierce/Allen oraz Gasol. Chciałbyś zagrać w jednej drużynie z każdym z tej listy... nawet z młodym Kobem. No może nie zawsze, ale przez większość czasu.

3. Masz już podstawę drużyny i uzupełniasz ją o pierwszorzędných zadaniowców i/lub kolesi z charakterem (jest ich zbyt wielu, żeby zacząć wyliczankę, chodzi mi o gości pokroju Roberta Horry'ego czy Dereka Fishera). Takich, którzy znają swoje miejsce, nie popełniają błędów i z pewnością nie będą stanowić zagrożenia ani dla zespołowej kultury drużyny, ani dla sztabu szkoleniowego, który stawia wartości zespołu ponad indywidualnościami.
4. A podczas play-offów musicie być zdrowi, no i mieć trochę szczęścia\*.

Tak właśnie zdobywa się mistrzostwo NBA. Spurs Tima Duncana idą z tą formułą jeszcze o krok dalej – zatrudniali tylko gości z charakterem w roli zadaniowców i tylko przy okazji jednego tytułu mieli w składzie narzekacza (Stephena Jacksona w '03, którego zresztą zaraz potem się pozbyli). Popovich wyjaśnił swoją filozofię w wywiadzie dla „Sports Illustrated” w 2009 roku: „Zatrudnimy graczy, którzy chcą wykonywać swoją pracę, a po pracy wracać do domu i nie ekscytuje ich imprezowe życie. To jedna z najważniejszych rzeczy – pozyskiwać ludzi, którzy są ponad to. Chcą tylko udowodnić, że zasługują na miejsce w lidze, i nic więcej. Wypełniają swoją funkcję i znają swoje miejsce w szeregu. Mamy trzech graczy, którzy są najlepsi, a cała reszta ma za zadanie ich wspierać”. To, że drużyny Duncana wygrały podczas trwania jego kariery 70 procent meczów, z pewnością nie jest przypadkiem. Ale nie ma statystyk, które zmierzają „najlepszą chemię”, „największą gotowość do poświęcenia się dla dobra drużyny” czy nawet „najbardziej namacalny i stały pozytywny wpływ na kolegów z drużyny”. Nie da się tego zmierzyć. Właśnie dlatego nie jesteśmy w stanie do końca pojąć zawodowej koszykówki. W jednym momencie na boisku może przebywać tylko pięciu zawodników. W sumie mogą rozegrać tylko 240 minut. To, jak ze sobą współistnieją, jak wpływają na siebie nawzajem, jak godzą się z tym, że mogą grać tylko część z tych 240 minut, jak sobie wzajemnie ufają, jak w siebie wierzą, jak kreują pozycje rzutowe dla kolegów, jak nieistotna jest dla nich hierarchia umiejętności, zarobków, samców alfa... to jest właśnie koszykówka. To tak jak z miłością. Kiedy się zakochujesz, to po prostu to czujesz. Czujesz też, kiedy wszystko szlag trafia. W takich drużynach grali Bill Russell i Bill Bradley, którzy opisali to lepiej niż ktokolwiek inny (Russell w książce *Second Wind*, Bradley w *Life on the Run*):

---

\* W tym momencie wszyscy fani Suns z lat 2004–2007 przyłożyli sobie tą książką w głowę.

Russell: „Celtics byli drużyną złożoną ze specjalistów i tak jak w każdym tego typu zespole nasz wspólny wysiłek był uzależniony nie tylko od indywidualnych umiejętności każdego z nas, ale też od tego, jak dobrze ze sobą współpracowaliśmy. Każdy doskonale rozumiał, że musimy się wzajemnie uzupełniać, i każdy z nas starał się uczynić tę kombinację jeszcze skuteczniejszą. [...] Celtics grali ze sobą, bo wiedzieliśmy, że tylko w ten sposób jesteśmy w stanie wygrywać”.

Bradley: „Walka o mistrzostwo uwidacznia ograniczenia związane z samodzielnością, egoizmem i nieodpowiedzialnością. Jeden zawodnik nie jest w stanie po nie sięgnąć. Tak naprawdę to jest wręcz przeciwnie – jeden zawodnik jest w stanie sprawić, że nie zdobędziemy mistrzostwa. Sukces drużyny gwarantuje sukces jednostkom, ale nie odwrotnie. Model drużyny jest niedoskonały, bo nawet jeśli obserwatorzy zachwycają się zespołową grą zawodników i ich umiejętnościami, trudno im zgodzić się co do tego, jak doszło do sukcesu i kto najbardziej się do niego przyczynił. Bliskości łączącej drużynę koszykarską nie da się odtworzyć w szerszym gronie”\*.

Russell: „Największa odpowiedzialność spoczywa na gwiazdach i obejmuje więcej niż same statystyki. To odpowiedzialność za to, żeby pociągnąć swoją drużynę. Żeby zdobyć tytuł, musisz się nauczyć to robić i być zawsze gotowy, choć pewnie wolałbyś czasem odetchnąć. Musisz nauczyć się mówić i robić rzeczy, które sprawiają, że twoi przeciwnicy będą grali gorzej, a twoi koledzy z drużyny będą grali lepiej. Zawsze uważałem, że najważniejszym miernikiem tego, jak dobrze zagrałem, jest to, czy potrafiłem sprawić, że moi koledzy wzniesli się na wyższy poziom”.

Bradley: „Wierzę w to, że koszykówka, jeśli wziąć pod uwagę odpowiedni poziom gry zespołowej, może stanowić metaforę idealnej współpracy. To taka dyscyplina sportu, w której sukces, symbolizowany przez tytuł mistrzowski, wymaga tego, żeby interes społeczności znajdował się ponad osobistymi impulsami. Wyjątkowy zawodnik jest tylko jednym z wierzchołków pięcioramiennej gwiazdy. I statystyki takie jak średnia liczba punktów, zbiórek czy asyst na mecz nigdy nie wytłumaczą niezwykłych zależności, jakie zachodzą w odnoszącej sukcesy drużynie”.

---

\* Z podobną dynamiką mamy do czynienia w jednostce żołnierzy albo w akademiku studentów pierwszego roku – łączącej tych ludzi bliskości nie da się odtworzyć w szerszym gronie.

Russell i Bradley w zupełnie inny sposób piszą dokładnie o tym samym: chodzi im o to, że zawodników powinno się oceniać na podstawie ich umiejętności docierania do reszty drużyny (a nie na podstawie statystyk). Każdy jest w stanie nawiązać tę nić porozumienia z zespołem przez jeden sezon. Ale umiejętność odnalezienia tej więzi, kultywowania jej, sięgnięcia po tytuł, utrzymania więzi, przewyciężenia nieuchronnych pułapek, które się potem pojawiają, pokonania głodnych sukcesów rywali i powracania po kolejne tytuły... na tym właśnie polega bycie mistrzem. Jak tłumaczył Russell: „Obrona tytułu jest dużo trudniejsza niż jego zdobycie. A jeśli wygrasz raz, to niektórzy kluczowi zawodnicy zaczną być niezadowoleni z roli, jaką odgrywają w drużynie, i trudno będzie utrzymać koncentrację na tym, co trzeba robić, by wygrywać. Poza tym skoro już raz to zrobiłeś, to trudno jest odnaleźć w sobie taką samą motywację, jaka pozwala ludziom na zdobycie szczytu za pierwszym razem. Wygrywanie przestaje być czymś nowym. Do tego pojawia się pokusa, by wierzyć, że skoro już raz wygraliśmy, to pewnie kolejne mistrzostwo wygra się samo. Trzeba zasuwać w każdym spotkaniu. Poza tym starzejesz się i jesteś coraz mniej odporny na zmęczenie i ból... Jeśli znajdziesz 30–35-latkę, który wciąż jeszcze potrafi odnaleźć w sobie motywację do walki z tym rosnącym zmęczeniem i bólem, to znaczy, że znalazłeś mistrza”\*.

Nie widzę tu słów takich, jak „statystyki” czy „cyferki”. Chodzi tylko o wygrywanie. Już na długo przed play-offami widać, które drużyny poznały Sekret. Po meczach przedsezonowych Celtics przystąpili do rozgrywek w sezonie '08 dużo bardziej zjednoczeni. Już wcześniej zastrzyku świeżej krwi dodały im transfery, w których pozyskali Garnetta i Allena, ale niekonwencjonalny pomysł podróży do Włoch bez komórek przyczynił się do stworzenia wyjątkowej więzi\*\*. Stworzyli własny slogan: „Ubuntu” – słowo wywodzące się z narzecza bantu, oznaczające „więź”. Spędzali razem czas także po powrocie do Stanów – i tak jak wcześniej do kina albo do restauracji szło razem trzech graczy, tak teraz szło ich dziewięciu albo dziesięciu. Przed rozpoczęciem każdego meczu Eddie House i James Posey stali przy stoliku sędziowskim i jeden po drugim pozdrawiali kolejnych wchodzących na

---

\* Ten akapit powinien się kończyć tak: „Rzadko spotyka się sportowca, który w ciągu trwania kariery nie przybierze na wadze pięć czy osiem kilo, ale jeszcze rzadziej spotyka się kogoś, kto w analogiczny sposób nie przybiera na wadze mentalnie. I to jest właśnie najgorsze u starzejących się mistrzów – zużywa się ich koncentracja i twardość mentalna, które często decydują o zwycięstwie. A przecież to one powinny rekompensować im coraz mniejsze możliwości fizyczne”. Podobna mi się koncepcja „mentalnej tkanki tłuszczowej”. Czy to oznacza, że 35-letni Eddy Curry będzie miał normalną tkankę tłuszczową i do tego jeszcze mentalną tkankę tłuszczową? Ciekawe, jak to będzie wyglądało?

\*\* Brawa dla Doca Riversa za to, że zakazał używania w trakcie tego wyjazdu wszelkich przenośnych urządzeń. Choć sądzę, że zawodnicy nadal mieli prawo oglądać pornosy w pokojach hotelowych.

parkiet zawodników z pierwszej piątki\*. Eddie w wymyślny sposób przybijał z nimi piątki, a Posey przytulał ich i szeptał do ucha motywacyjne gadki. Rezerwowi dopingowali graczy z pierwszej piątki niczym banda kujonów z liceum idealizująca drużynę sportową swojej szkoły. A kiedy ci z pierwszej piątki siadali na ławce, żeby odpocząć, role się odwracały. I tak to wyglądało przez cały sezon. Zawodnik, który był architektem tej zespołowej gry (Garnett), zajął dopiero trzecie miejsce w głosowaniu na MVP, bo miał jak na siebie słabsze statystyki. Ale Celtics z drużyny, która w sezonie '07 miała najgorszy bilans w lidze, stali się w rok później ekipą z najlepszym bilansem. I gdzie są statystyki na coś takiego? (Cholera, zapomniałem, można je znaleźć w rubryce „zwycięstwa”). I na tym właśnie polega piękno koszykówki. Musisz oglądać mecze. Musisz zwracać uwagę na szczegóły. Nie możesz żyć tylko cyferkami i statystykami. Kiedy kończyłem pisać pierwszą wersję tej książki, widziałem, jak prowadzeni przez LeBrona Cavaliers z sezonu '09 tworzyli w swojej drużynie chemię w stylu Ubuntu i wciąż się tym bawili. Pokazywali, jak bardzo się kochają, opowiadali, jak każdemu z nich koszykówka sprawia większą radość niż kiedykolwiek wcześniej itd. Mówiąc o tym, wyglądali tak samo, jak młody chłopak, który podjarany opowiada o fantastycznym seksie z nową dziewczyną. To coś wspaniałego. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłem. Zastanawiałem się nad tym, skąd ja to znam. Po czym sobie przypomniałem. Oto cytat z felietonu poświęconego Warriors ze „Sports Illustrated” z grudnia 1974 roku:

W tej drużynie jest grupka supergości. Zawodników, dla których interes zespołu jest ważniejszy od ich własnego. Uważam, że koszykówka stanowi uosobienie zespołowej dyscypliny sportu i że mamy teraz w składzie zawodników, którzy uzupełniają się dla dobra ogółu. Wszystkim zależy tylko na jednym – na sukcesie zespołu. Nie widziałem nigdy, żeby ktoś był niezadowolony ze swojej postawy, jeśli tylko wygraliśmy mecz. A w przeszłości zdarzało się, że ktoś narzekał na swoją dyspozycję rzutową i nawet zwycięstwo go nie pocieszało.

---

\* Nawet jeśli ktoś uważa „niedźwiadki” Poseya za kliki, homoerotyczne i mało komfortowe (zwłaszcza jeśli siedziało się w jednym z pierwszych rzędów), stanowiły one widoczny symbol bliskości tej drużyny. Kiedy latem Hornets ściągnęli Poseya i zapłacili mu 25 milionów dolarów, patrzyłem, jak rozdaje takie same uściski Chrisowi Paulowi i Davidowi Westowi, i po raz pierwszy w życiu zrobiło mi się smutno od patrzenia na przytulających się mężczyzn. NBA: miejsce, gdzie możesz zwątpić w swoje preferencje seksualne.

Wiecie, kto to powiedział? Rick Barry. Tak jest, największy kutas swoich czasów. W tamtej ekipie Warriors wszystko działało tak, jak trzeba, i on to wyczuwał, czuł się komfortowo, opowiadając o tym, i... tak jest, sześć miesięcy później zdobył tytuł MVP Finałów. Zawsze kiedy gwiazda drużyny zachwyca się swoją ekipą tak ja on, wiesz, że będzie im się dobrze wiodło. Po prostu to wiesz. Oczywiście w każdej drużynie może się udać stworzyć zespołową atmosferę na jeden sezon. Ale jak to utrzymać, gdy uda się zdobyć mistrzostwo, a na zawodników nagle spłynie wielki splendor? Tłumaczy to były bramkarz Montrealu, Ken Dryden:

Zwycięzanie przeradza się w stan umysłu, obowiązek, coś oczekiwanego, a w końcu w nastawienie. Doskonałość. Rzadko miewasz okazję grać z najlepszymi i być najlepszym. Kiedy już to osiągniesz, nie chcesz z tego rezygnować. Nie jest to łatwe i nie zawsze fajne... kiedy wygrywasz tak często jak my, zyskujesz prawo, żeby czasem przegrać. Porażka jest potrzebna, żebyś pamiętał o tym, jak smakuje zwycięstwo. Ale jeśli raz sobie pozwolisz na porażkę, możesz już nie odzyskać zwycięstwa. Może się okazać, że życie w bogactwie, bez presji wygranej, jest zbyt wygodne, by z niego rezygnować. Dokładnie to czuję w tym sezonie. Jeśli wygramy, to w przyszłym roku będzie tylko gorzej\*.

Russell żył dla takiej presji, a siebie samego i innych oceniał przez pryzmat tego, jak na tę presję reagowali:

Nawet gdy masz do dyspozycji talent, bystrość, radość, pewność siebie i skupienie na celu, czyli wygranej, konkurencja sprawi, że wszystko się wyrówna. Rośnie presja i mistrzów czeka sprawdzian woli... Serce mistrza poznaje się po motywacji i po tym, jak dobrze twój umysł i ciało zareagują na ciśnienie. To jest właśnie koncentracja – robienie swojego pod presją i mimo bólu\*\*.

---

\* Cytat pochodzi z książki *The Game*, wspaniałego opisu ostatniego sezonu Drydena w Montreal Canadiens – drużynie, która gra w czymś, co nazywają National Hockey League.

\*\* Dokładnie to czułem, kiedy próbowałem dokończyć pisanie pierwszej wersji książki, mając z tyłu głowy ostateczny termin. Myślicie, że Russell, tak jak ja, mógł wykorzystywać papierosy, alkohol, kawę, pilates i wygodne krzesło za 2000 dolarów, żeby poradzić sobie ze stresem i sięgnąć po 11 tytułów mistrzowskich? Czy tylko ja tak mam? Dokończenie zajęło mi tak dużo czasu, że zacząłem znowu palić (tylko dwa, trzy papierosy dziennie, żeby zabić głód nikotynowy), po czym znowu rzuciłem palenie i czułem się, jakby pomiędzy jednym a drugim upłynęło z dziesięć lat.

A zatem tak naprawdę obrona tytułu (albo trzecie czy czwarte zwycięstwo) zależy od tego, jak drużyna radzi sobie z ciągłą paniką (nie chcemy stracić tego, co już mamy) i presją (nie tylko wciąż musimy przez to przechodzić, ale trzeba też uwierzyć, że nam się uda). Jesteś w stanie sobie z tym poradzić tylko wtedy, kiedy masz do dyspozycji odpowiednią drużynę, kiedy gwiazda drużyny i pomocnicy wiedzą, jakie są ich zadania. Wilt zdobył jeden tytuł mistrzowski (w sezonie '67) i 14 miesięcy później został sprzedany. Zależało mu tylko na jednym tytule, jego obrona nie była już takim wyzwaniem, więc zajął się innym (wygraniem klasyfikacji asyst). A tymczasem Russell nawet w 13. sezonie gry wciąż notorycznie wymiotował przed ważnymi meczami. Miał już wystarczająco dużo pierścieni, żeby ozdobić nimi wszystkie palce obu rąk, ale nie miało to znaczenia. Nic innego go nie interesowało. Tylko zwycięstwo. Wystarczało przebywanie w jego towarzystwie i żywienie się jego motywacją i wolą walki, żeby jego kolegom z drużyny zaczęło zależeć tak samo jak jemu. Zarażenie się tym nie jest takie proste, ale jak już się uda, a nie udaje się wcale tak często, drużyna zrobi wszystko, by w tym wytrwać. To podstawa wielkości tych najwybitniejszych drużyn.

I dlatego też tak ciepło wspominamy zespoły Jordana i Pippena. Ich dziedzictwa nie scementowało pięć pierwszych tytułów mistrzowskich, ale ten ostatni, kiedy jechali już na oparach i byli w stanie przetrwać tylko dzięki dumie i niezłomnej woli Jordana. Mój ulubiony moment miał miejsce w Finałach Konferencji Wschodniej – mecz numer siedem, Byki przegrywają różnicą trzech punktów, do końca pozostało sześć minut. Ledwo żywi Bulls nie poddają się w pojedynku z naprawdę dobrą drużyną Pacers, która wydawała się wtedy gotowa do tego, by ich pokonać. Pamiętacie, jak Jordan pokonał mierzącego 224 centymetry Rika Smitsa przy rzucie sędziowskim albo jak Pippen przepchnął Reggiego Millera, ratując kluczową piłkę w ostatnich minutach? Pamiętacie, jak Bulls szaleli tej nocy na ofensywnej tablicy\* i robili wszystko, żeby zwyciężyć? Pamiętacie, jak Jordan się męczył, ledwo stojąc na nogach i pudłując rzuty z wyskoku, więc zaczął wchodzić raz za razem na kosz, żeby wymuszać faule przeciwników i stawać na linii rzutów wolnych? Pamiętacie, jak w ostatnich sekundach Jordan z Pippenem stali na środku boiska z rękami opartymi o kolana, niesamowicie wyczerpani, nie będąc w stanie wykrzesać z siebie

---

\* Przedziwna statystyka z tego meczu: MJ i Pippen trafili tylko 15 z 43 rzutów, Chicago spudłowało 17 z 41 rzutów wolnych, Rodman nie zrobił nic (22 minuty, tylko sześć zbiórek), a Pacers trafili 48 procent rzutów (Bulls – 38). Jakim cudem Bulls zdołali wygrać? Zebraли 22 piłki w ataku, zdobyli 26 punktów z rzutów drugiej szansy i kontrolowali piłkę niczym drużyna hokejowa – biorąc pod uwagę okres od 7 minut i 13 sekund do zakończenia meczu do 31 sekund przed końcem, byli przy piłce przez 270 z możliwych 402 sekund. I obejmuje to około 20–25 sekund martwego czasu, kiedy zegar odliczał sekundy po zdobytych przez nich punktach. Niesamowity mecz, świetnie się go ogląda po raz kolejny.



energii, żeby świętować zwycięstwo? Nie pozwoliliby wtedy sobie na przegranie tego meczu. Wielkiej drużyny ani wielkich koszykarzy nie poznaje się po tym, jak wygrywają. Poznaje się ich po tym, jak się zachowują, kiedy wymiękają, ale jakimś cudem wyszarpują zwycięstwo, walcząc o pozostanie na szczycie. Z kolei Lakers prowadzeni przez Kobego i Shaq'a zdobyli tylko trzy tytuły mistrzowskie, choć powinni ich mieć przynajmniej osiem. Przyglądanie się upadkowi tej drużyny było w pewien sposób fascynujące. Nie wyobrażam sobie, jak będą to oceniali kibice z przyszłych pokoleń.

Jak to, mieli jednocześnie w składzie dwóch z trzech najlepszych koszykarzy na świecie i w tej słabszej lidze zdobyli tylko trzy tytuły mistrzowskie? Jakim cudem?

Z tego samego powodu, dla którego osłabienie składu poprzez pozyskanie Aguirre'a uczyniło w 1989 roku Pistons lepszą drużyną. Z tego samego powodu, dla którego wszyscy w latach 80. byłiby gotowi popełnić zbrodnię, żeby móc grać w jednej drużynie z Birdem albo Magikiem. Z tego samego powodu, dla którego każdy zawodnik w ostatnich kilkunastu latach wolałby grać w jednej drużynie z Duncanem niż z kimkolwiek innym. Nie chodzi o statystyki ani o talent, ale o umiejętność sprawiania, że twoi koledzy z drużyny stają się lepsi. O stawianie interesów zespołu ponad własnymi.\* Jeśli drużyna złożona z utalentowanych zawodników potrafi to zrobić, to przez jeden sezon nie sposób jej powstrzymać. Ale kiedy ci zawodnicy postanawiają to utrzymać i powściągnąć swoje ambicje dla wyższych celów, stają się fascynujący w kontekście historycznym.

Pisząc tę książkę i tworząc ranking – który luźno opisuję jako „ocenę tego, dlaczego niektórzy zawodnicy i niektóre drużyny mają większe znaczenie od innych”\*\* – nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi, bazując tylko na statystykach. Musiałem się zagłębić w historię koszykówki, przeczytać tyle książek, ile się dało, obejrzeć

---

\* Dziwna analogia: to samo dotyczy najlepszych zawodników wrestlingu. Na przykład Ric Flair i Shawn Michaels są uznawani za najwybitniejszych w swoich pokoleniach. Czemu? Bo znakomicie potrafili wykorzystać to, co mieli do zaoferowania ich przeciwnicy. Byli w stanie stworzyć świetne widowisko w potyczce z każdym przeciwnikiem, nawet takim, który – jak Hulk Hogan czy Undertaker – dysponuje tylko czterema popisowymi numerami. Ta zasada działa tylko w trzech dyscyplinach sportu: koszykówce, hokeju i wrestlingu. Tak, właśnie nazwałem zawodowy wrestling dyscypliną sportu. Ktoś ma z tym jakiś problem? No, słucham.

\*\* To taki punkt, który mógłby służyć do przykucia uwagi w jakimś talk show. Może powinienem naściemniać, że w książce znajduje się rozdział, który odpowiada na pytania: „Czy Jordan został zdyskwalifikowany za hazard?”, „Czy loteria draftowa 1985 roku była ustawiona?”, „Czy skazany za hazard Tim Donaghy miał współników?”, „Czy Kobe był winny?”, „Czy przechwałki Wilta Chamberlaina, że spał z 20 tysiącami kobiet, były tylko zasłoną dymną, mającą ukryć jego prawdziwą orientację seksualną?”. Kiedy ktoś poprosi o dodatkowe informacje, mogę powiedzieć: „Słuchaj, musisz po prostu przeczytać tę książkę”. Po czym przez resztę czasu będę opowiadał o tym, że podczas play-offów '76 Barry grał w peruce. Nie ma

tyłe meczów, ile było możliwe. I tak wyłoniło się pięć różnych kategorii koszykarzy. Elitarni zawodnicy, którzy sprawiali, że sami grali lepiej i że lepiej grali także ich koledzy z drużyny; elitarni zawodnicy, którzy robili wszystko tylko dla siebie; elitarni zawodnicy, którzy lawirowali pomiędzy tymi dwoma stanami umysłu, w zależności od tego, co bardziej pasowało do ich interesów\*; zawodnicy zadaniowi, których rola w drużynie rosła dwu- lub trzykrotnie, jeśli trafiali do odpowiedniego zespołu; i wreszcie kolesie, którzy nie mieli znaczenia. Ostatnia grupa nas nie interesuje. Spore znaczenie mają trzy środkowe grupy, ale zdecydowanie największe ta pierwsza. To goście, którzy wymiotowali przed najważniejszymi meczami, którzy płakali podczas programów telewizyjnych, oglądając powtórki pechowych akcji i nie mogąc pogodzić się z tym, co wydarzyło się wiele lat temu. Ci, którzy zrezygnowali z pewnego tytułu mistrzowskiego (często więcej niż jednego), bo interesowało ich tylko zwycięstwo na ich warunkach. Ale także ci, którzy poświęcili 20 procent czasu spędzanego na parkiecie i meczowych statystyk, bo wiedzieli, że takie poświęcenie będzie z korzyścią dla drużyny. Ważne są dla mnie zarówno krzykliwe cytaty z kolorowych magazynów, jak i pełne pasji wypowiedzi umierających kolegów z drużyny. Liczy się także to, czego byłem świadkiem, i jaki to wywarło na mnie wpływ. A ostatecznie podjąłem następującą decyzję: kiedy porównujemy ze sobą drużyny i zawodników w kontekście historycznym, najważniejszy jest Sekret.

Wszystko tłumaczy jeszcze jedna, ostatnia już anegdota. Zaraz po tym, jak Celtics Russella zdobyli swój ostatni mistrzowski tytuł w sezonie '69, ekipa złożona z przyjaciół, pracowników, właścicieli i dziennikarzy zapełniła szatnię Bostonu, czekając na rutynowe polewanie się szampanem i pełne triumfu padanie sobie w objęcia. Ale Russell poprosił wszystkich ludzi spoza drużyny, żeby na kilka minut opuścili szatnię. Wytłumaczył, że zawodnicy chcieli sami ze sobą napawać się tą chwilą, dodając: „Jesteśmy dla siebie przyjaciółmi”. Pokój opustoszał, a zawodnicy spędzili te cenne chwile, świętując zwycięstwo w swoim towarzystwie. Bóg jeden wie, co sobie wtedy powiedzieli i jak wiele to dla nich znaczyło. Tak jak Isiah tłumaczył Danowi Patrickowi: nie zrozumiemy tego. I chyba tak rzeczywiście jest. Kiedy drzwi znowu się otworzyły, Russell zgodził się udzielić krótkiego wywiadu Jackowi Twymanowi ze stacji ABC, który zaczął zadawać typowe kretyńskie pytania, padające zawsze w takiej sytuacji: „Bill, to musiało być dla was wspaniałe zwycięstwo”.

Szczęśliwy Russell próbował odpowiedzieć: „Jack...”.

---

wała, żeby Stephen Colbert nie podjarał się takim tematem. (Dopisek w nowym wydaniu: wystąpiłem u Colberta 29 października 2009 roku. Okazało się, że bardziej zainteresowało go moje porównanie Kobe'go do Nastoletniego Wilkołaka).

\* Alarm – kod „Kobe”!

Ale więcej słów nie padło. Próbował znaleźć słowa, które mogłyby oddać to, co wtedy czuł. Nie był w stanie. Potarł tylko twarz prawą dłonią. I nadal nic nie mówił. W końcu na kilka sekund się rozkleił – nie rozplakał się, ale widać było, że ta chwila go przytłoczyła. Wiecie, jak wtedy wyglądał? Jak Ellis „Red” Boyd podczas kulminacyjnej sceny na polu kukurydzy w *Skazanych na Shawshank*. Pamiętacie, jak Red skończył czytać pełen emocji list („nadzieja jest czymś dobrym”) od Andy’ego, walczył z kulą w gardle, spojrzął przed siebie szklanymi oczami i kompletnie nie był w stanie przetrwać tego, co właśnie się stało? Ta chwila go przytłoczyła. I tak samo było z Russellem. Facet osiągnął najwyższy możliwy poziom w sporcie, idealne połączenie potu, krwi i szampana, próbował docenić to wszystko, co właśnie się stało, wyjątkową więź, jaka połączyła go z kolegami z drużyny. Więź, której nigdy nie zapomni. Russell zdawał sobie sprawę z tego, że Celtics w sezonie ’69 jechali już na oparach, że byli słabsi od rywali i że w zasadzie nie powinni byli odnieść zwycięstwa. A jednak je odnieśli. I stało się to z przyczyn, które nie miały nic wspólnego z koszykówką\*.

Bill Russell nie rozegrał już potem ani jednego meczu koszykarskiego. Wycisnął z Sekretu Koszykówki wszystko, co się dało, zdobywając 11 mistrzowskich pierścieni i kończąc karierę jako największy zwycięzca w historii sportu. Kurczowo trzymał się tego Sekretu do samego końca. Kiedy jego podróż dobiegła kresu, potarł tylko oczy, zwalczył napływ łez i próbował znaleźć słowa, których znaleźć się nie udało. Nic nie mówiąc, powiedział wszystko.

Blisko 30 lat później ekipa NBA Entertainment przeprowadziła wywiad z Wiltem Chamberlainem, poświęcony jego koszykarskiej karierze. Pojawił się temat Finałów w 1969 roku.

„Ta porażka z Bostonem nie miała prawa się zdarzyć – mrucał wciąż niedowierzający w to Big Dipper. – Nie miała prawa. No wiesz... Wciąż nie mam pojęcia, jak to się stało”.

Zaczął się śmiać, aż w końcu dodał: „Dla mnie to tajemnica”.

No pewnie, że tak.

---

\* Dokładnie tak jak Isiah, po zakończeniu kariery Bill bezskutecznie próbował przekazać innym Sekret Koszykówki w Seattle i Sacramento. Nigdy nie udało się wyjaśnić, dlaczego legendy, które zgłębiły Sekret albo przynajmniej potrafiły go zrozumieć (Russell, MJ, Bird, Magic, Cousy, Baylor i McHale, że wymienię tylko siedmiu), nie były w stanie przekazać go prowadzonym przez siebie drużynom. To jakby przeciwieństwo choroby wenerycznej – nie da się nim zarazić innych.



Dolph Schayes

Fot. Charles T. Higgins / Getty Images



Nastoletni Wilt Chamberlain

Fot. Bettmann / Getty Images

Fot. Bettmann / Getty Images



Julius „Dr. J” Erving

Fot. Focus On Sport / Getty Images



George Gervin (#44) i James Silas (#13)

Koniec fragmentu  
Zapraszamy do księgarń



WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

